

Przybylska Ewa

**Jaki kamień taki
cios**



Dzień pierwszy
Lipiec. Szósta rano

Z wierzchołka wydmy widziała morze, aż po horyzont. Aż do miejsca, w którym rozpływało się we mgle. Za sobą miała las i ciszę.

Siedziała nieruchomo.

Kajak oddalał się powoli. Dziecko siedzące na brzegu spoglądało za nim z żalem i gniewem. Celowo nie zabrali jej ze sobą! ONA zawsze wolała Małego. Swego chłopca. Syneczka. A jemu było wszystko jedno. Zostawili ją tutaj, chociaż to Mały powinien był tu siedzieć i patrzeć przez łąki na znikający kajak.

Ledwo było go widać. Rozpływał się w szarej mgiele, wiszącej nad taflą jeziora.

Nagle dziecko wstało. Kajak zapadł się pod lustro! Nagle! Omal niezauważalnie. Nie było go! Wessało go w głąb!

Ukazały się dwie głowy, po czym zniknęły. Czyjeś ramiona biły wodę. I nagle ucichło.

Dziecko opadło na powrót na skarpe z ustami otwartymi do krzyku. Lecz nie było w stanie wydać głosu.

Wanda gwałtownie obróciła się plecami do morza. Też przycichło. Przyciało się pod taflą pozornie nieruchomą, jak tamta sprzed lat, obrośnięta trzcinami. Fale toczyły się łagodnie, podskórnice, podstępnie, jak tamte. Docierały do brzegu, rozbijały z cichym szelestem. Nic się nie stało.

Nic się nie wydarzyło!

Nigdy!

Wanda zatkała uszy. Rzuciła się w piasek wydmy, leżała bez ruchu z twarzą w ostrej trawie.

- Płaci pani grzywnę - oznajmił uprzejmy głos. Usiadła powoli.

Strażnik był młody, wystarczyłoby tylko się uśmiechnąć. Popatrzyła na niego wrogo.

- Takie przepisy - rzekł. Uśmiechał się, podczas gdy jego oczy oceniały przyjaźnie jej twarz, włosy rozsypane na ramionach, szczupłość i długość nóg. Nie miał w twarzy chciwości pięćdziesięcioletnich staruchów. Ich plugawego łakomstwa. Lecz niebawem i on stanie się takim, to nieuniknione, zasypiające hormony opętają go jak innych.

- Przykro mi - odezwał się.

- Mnie nie - ucięła wrogo. - No, spisuj pan! Błysk zaskoczenia przemknął przez jego twarz.

- Proszę bardzo - rzekł chłodno.

Podyktowała swoje personalia, adres stały i tymczasowy, imiona rodziców i pradiadków z obu stron, numer obuwia, stanika i majtek.

Słuchał oszołomiony.

Sklapnął notatnik i odszedł.

- Wścibski gówniarz! - wrzasnęła za nim.

Nie obejrzał się.

Przypadła twarzą do piasku.

Jeszcze dzień i zwariuje. Zabije ją krzyk, którego nie słyszeć. Plusk wody i głowy szamotające się na powierzchni. I nagle cisza, która zapadła.

Szaleństwo. Eksplozja pamięci wywołanej jednym zdaniem. Zdaniem przypadkowo wtrąconym.

Przypadkowo?! O nie!

Zwróciła twarz ku niebu. Kłamało błękitem, kolorem spokoju, obietnicą wyciszenia, które nie chciało przyjść.

Jakie znaczenie mają słowa przypadkowo rzucone? Co kryją? Co chciał przekazać głos nagle zamarły, jakby na czymś przyłapany? I oczy, raptem zmacone, bo oto coś się zdradziło. Co kryło się za słowami pozornie zwykłymi?

Zdarza się, że nie pragnie się dopłynąć do brzegu.

Zdarza się, ale nie powinno. Radczyni prawna winna o tym wiedzieć. Studiowanie prawa wyjaławia umysł. Nakazuje myśleć paragrafami, które nie przystają do rzeczywistości. Kodeks nie wie, że istnieją rzeczy, które nie poddają się logice. Których nigdy nie przyjmie się do wiadomości, gdyż sprzeciwia się temu coś, co się pospolicie nazywa człowieczeństwem.

Stały wtedy, owego dnia przed tygodniem, twarzą w twarz. Radczyni wiedziała, że dziecko pozostawione na brzegu widziało zapadający się kajak. Że gdyby odzyskało mowę, mogłoby powiedzieć więcej.

Ale radczyni nie chciała tego **WIĘCEJ** poznać.

- Myślę - rzekła wtedy do zmaconych oczu radczyni - że gdyby to **JEJ** Mały został na brzegu, chciałyby do niego wrócić.

- Nienawidziłaś swego brata - rzekła wtedy Irena Krajnik.
- Może. Kradł miłość - odrzekła. Miał cztery lata, złote włosy i serce diabła, ONA należała tylko do niego. Wszystko mu się od NIEJ należało, wszystko. To najstarsze, sześćioletnie, pozostawione na brzegu, było pierwsze w domu według metryki, lecz ostatnie w bliskości.

- Nienawidziłaś go - powtórzyła radczyni.
- Po cholere studiowałyście obie prawo - zakrzyzczała do niej szeptem.
- Nie uczono was, że w chybotliwym kajaku jedno dziecko skazane jest na śmierć, a to drugie, na brzegu, również?!

Zastygły, patrząc na siebie. Twarz Ireny Krajnik była bielsza od kredy.

- Dlaczego powiedziałaś to zdanie? - spytała ją szeptem. -Dlaczego? Czternaście lat spało to we mnie i nagle obudziłaś moją pamięć. Odpowiedz!

Irena nie odpowiedziała.

- Odpowiedz!

- Przeraziła mnie twoja twarz - odrzekła. - Zdarza się, że jakaś przelotna myśl powraca w pamięci. Jakiś zamazany obraz staje się nieprawdziwie czytelny. Znam takie przypadki.

- Jestem tym przypadkiem - odrzekła jej. - Z tym, że przekazano mi w genach umiejętność odróżniania fikcji od prawdy. Jestem córką reżysera. Człowieka, który omamia obrazami, sam pozostając trzeźwym. Czy ONA była podobna?

Nie usłyszała odpowiedzi.

I nie usłyszy. Sama znajdzie. Musi być jakaś nitka, która doprowadzi ją do wyjścia. Musi!

Wanda zanurzyła twarz w piasek. Ziarenka wpychały się do oczu. Niech je pochłoną. Niech oczy zapomną. Albo odzyskają ostrość widzenia. Czy szaleństwo zawsze się tak zaczyna?

Nadal był ten sam lipiec, ten sam dzień i nadal szósta rano. No może nieco później. Mokry piasek wystudzał ciało. Leżała jakby obok siebie. Wsłuchiwała się w ciszę.

Za dwie godziny ukążą się nad brzegiem balii sylwetki tych pierwszych. A za cztery przeludnią się plaże. Miejskie szczury wejdą w swoje okopy, otoczone palisadą. Cisza pierzchnie.

Wanda uniosła głowę. W dole ktoś biegł wzdłuż brzegu. Rytmicznie, z gracją wyrzucając długie nogi. Teresa.

Wuefistka, i popatrz, nawet inteligentna, powiedziała o sobie.

Wanda przyglądała się jej czujnie. Ta druga legalna kobieta jej ojca, harmonijna w każdym ruchu, nad-symetryczna nawet z tej niesprzyjającej perspektywy, skracającej figurki tych w dole o połowę nóg, biegła przed siebie, jak co rano. Deszcz, nie deszcz. Zapewne była z tych kobiet, które zawsze dopływają do brzegu. Do miejsca, które same wybrały.

Nikt jej nie zapraszał wtedy, przed laty, do przekroczenia progu obcego domu. Lecz go przekroczyła. Szła swobodnie, ani trochę spięta, podczas gdy niechętne oczy starej kobiety, zaocznie zwanej Czarną Wdową, kontrolowały każdy jej ruch. Nie zajęła krzesła, które jej wskazano. Wybrała sama. Siedziała na nim jak gość przemiłe widziany.

Nie oczekiwał jej nikt.

Wspaniały pływak, który nie dał się zatopić, zapewne zaprosił ją przypadkowo. A ona wzięła jego słowa serio. Nie była inteligentna, przynajmniej wtedy, przed czternastu laty. Nie pojęła, że on jest z tych, którzy zaczynają grę w wybranym przez siebie miejscu i kończą bez przeproszenia. Po prostu - choroba zawodowa. Do wrodzonych zdolności dołączył te reżyserskie: uciąć scenę, gdy zaczyna się dłużyć. Dokładnie w momencie, kiedy jeszcze chce się grać, ale już zaczyna się mieć dosyć. Tak, w tych odczuciach był uwrażliwiony na najsubtelniejsze niuansy. Tak to wyjaśniał. Bez zakłopotania.

Tak więc weszła w ich dom niezachęcana usilnie i pozostała, też niezachęcana. Już od dawna wie, że nigdy nie wkomponuje się w rodzinny obrazek, nie zmieści się w rodzinnym kadrze. Wyjaśniły jej to czternaście lat temu dwa obrzydliwe bachory: jedno turkusookie, drugie zaciekle milczące. Nie potrzebujemy mamusi, rzekła turkusooka Agnieszka. Nie będę nią, zapewniła przybyła, wystarczy, że będziesz dla mnie grzeczna.

Popęłniła błąd. Po co jej to było? Tego swego Damiana mogła mieć z kimś innym. Wybrała Piotra.

Co ją przynęciło? Jego świat?

Świat neurasteników i dogasających gwiazd, jeśli kiedykolwiek nimi były? Świat pismaczków, uważających się za twórców kultury? Jakiej kultury? Już się jej nie tworzyło. Tylko się z niej ujmowało. Bieg szcurów, który zaczął się przed wiekami, odkąd mały zeszły z drzewa, nasilił się. Stał się ideologią potężniejszą od kapitalistycznej, od komunistycznej, od jakiegokolwiek stycznej z czymkolwiek. Mieć. Mieć. Cokolwiek. Byle co. Byle dużo.

Ludowi, i temu, co rozmościł się w łóżach, i temu, co w rynsztoku, kultura nie jest potrzebna. Obumarła. Lecz i zy może obumrzeć w kimś coś, czego nigdy nie posiadał?

Doszedł ją plusk. Spojrzała w dół. Teresa zanurzała się powoli.

Wanda czekała. Wiedziała, że została zauważona w swoim schowku. Wiedziała też, że Teresa się nie odezwie. Nie zrobi gestu: zejdz do mnie. Zawarły umowę przed laty. Dystans, powiedziała wtedy cicho do milczącej nastolatki, tylko on cię uratuje, Wanda. Przed czym, Teresa?, spytała równie cicho. Przed kim, poprawiła Teresa. Przed sobą. Zawsze jesteśmy sam na sam. Całkowicie. Za wszystkim, co widzimy, czego dotykamy, co słyszymy, co wydaje się realne, jest jeszcze coś nigdy do pojęcia tak do końca. Coś, co się zdarzyło, chociaż nie mogło. A jeśli nie mogło, to jest ułudą.

Teresa nie była osobą, która mówi zagadkami. Schowała się wtedy za wypowiedziane słowa? Co je podyktowało? Przecież nie znała ich: TEJ, która nie dopłynęła, i jego, który osiągnął brzeg. Nie znała ich na pewno. Zostało to sprawdzone dawno temu, jeszcze bez powodu, dla samego porządku, dla wpisania Teresy na listę tych, które były przed nią.

Lecz nie na Teresie lista się zamknęła. Wiedziała o tym? Znosiła? Ów zalecany dystans i ją ratował?

Wanda spojrzała w dół. Teresa znowu biegła. Welon włosów powiewał za jej głową.

Wtem zza kłaków wydmy wynurzył się cień. Sunął za Teresą długim krokiem sportowca. Tajny wielbiciel? Idiotyzm! Przecież z tej odległości nie jest pewna nawet płęć cienia, zanurzonego w dres.

Wanda opadła twarzą ku niebu.

Zrównoważone kobiety są bardzo niebezpieczne, rzekła przed laty Czarna Wdowa. Zgadza się, odrzekła wtedy ta nie-zaproszona. Nawet bardzo niebezpieczne, dodała z uśmiechem, gdy bowiem któregoś dnia opuści je rozsądek, są nie do zatrzymania.

Wanda poderwała się. Byłażby to aluzja? Niezaproszona miała jakąś wiedzę, gdy przekraczała próg? Wykluczone. I to zostało sprawdzone. Była z innego środowiska. Zdrowego. Dbającego o ciało; mózg był na drugim planie i miał nakazane trzeźwe myślenie.

Postacie w dole jeszcze były widoczne. Cień za cieniem w małej odległości. Teresa nie zwolniła biegu. Nie obejrzała się. Z całą pewnością nie zmieniła nawet wyrazu twarzy, zawsze spokojnej spokojem kogoś, kto już przebył zawiłą drogę.

Nie potrzebujemy mamusi, powiedziała jej turkusooka Agusia. Ale dała się szybko obłaskawić. Miała pamięć kury, nie było jej wtedy na brzegu, nie słyszała plusku wody, jej myśli płynęły wolno pod czarnymi lokami, a iloraz inteligencji był bliski zeru, za to miała spryt starej kurtyzany. Ale ten,

który ją na ten świat sprowadził, widział ją inaczej. Agusia. Ageńka. Gdy wymawiał imię, jego oczy, ciemne nie do odczytania, stawały się przezroczyste. Córeczka moja.

Nie pamiętał, stary drań, że miał je dwie!

Zanurzyła twarz w piasek. Gdzie jest Wanda sprzed dziesięciu dni?

Leżała nieruchoma. W dole wielka balia zaczynała się lekko kołysać. Fale wybiegały nieco poza brzeg, jak co dnia. Woda daje życie, zapewniała teoria. I woda je odbiera, odpowiadała rzeczywistość.

Dobiegł ją czyjś głos. Pojedynczy. Nie był głosem Damiana.

Poderwała się. Gdzie jest syn Teresy, szybkobiegacz Damian, pólbrat? Gdzie jest długodystansowiec, wyrzucający rytmicznie patykowate nogi, wpatrzony w horyzont, nieobecny, ukołyszany marzeniem, które się nigdy nie spełni. Celem, którego nie osiągnie. Sam to powiedział. Nie chcę przekroczyć granicy, rzekł. Nie chcę osiągnąć celu. Zdobyte przestaje być celem. Staje się przegraną, już się nie pragnie wybiegać poza horyzont, człowiek przyrasta, sprawdziłem to. Patrzę. Widzę takich, co się wypalają, gaśnie w nich prawdziwe światło. Ja je zachowam. Muszę. Nigdy nie zrezygnuję z nieosiągalnego.

Jeżu - rzekła mu wtedy - jakim językiem mówisz, trzynastolatku? Kto ci powiedział, co pod słowami ukryte? Z kim przebywasz, Damian? Kto jest twoim bogiem?

- Powiedziałem już - odrzekł. - Marzenie jest bogiem. Chcę biec, nie dostrzegając mety, ty to rozumiesz, Wanda. W tobie też jest coś, co nie ma granic. Wiem to na pewno.

- Z kim przebywasz, mały - przerwała mu. - Kto ci powiedział, że to, co czynimy, co mówimy, jest tylko powierzchnią, pod którą jarzy się oślepiająca cudowna jasność albo piekło.

- Jest jeszcze coś pod tą powierzchnią. Coś więcej. Coś, co można dać innym. Marian to powiedział. Brat mojego Wiktora futbolisty. On nie tylko powiedział. On napisał. On to stworzył na kliszy. Jeszcze nie dotarł do celu, jeszcze nie chce. Szuka. Nie wypuszcza z rąk kamery. A gdy mówi, czego szuka, to człowiek, słuchając, zapomina o świecie. Tym swoim. Przenosi się tam, gdzie jest Marian i jego kamera. I jego obraz. Jest głos i jest świat malowany tym głosem. Wiktor oddałby za Mariana życie. Marian oddałby je za swoje obrazy. Ja nie oddam życia za obrazy. Zachowam je w oczach. Niech tam zostaną nie do końca spełnione.

- Matko Boska - rzekła wtedy - przedojrzały jesteś. Jeżeli wierzysz w to, co mówisz, co usłyszałeś od Mariana, to się zatracisz.

- Nigdy się nie zatracę, Wanda - odrzekł. - Wybrałem długie dystanse. One nie mają końca.

Umilkli. Był wieczór. Słońce zapadało za horyzont. Miejskie szczury opuściły grajdołki i pognały na kolację. Cisza ogarnęła świat, nawet bura balia w dole przestała chlupać i rozbijać się o brzeg.

- Myślę - rzekła mu wtedy - że nie możesz być dzieckiem swoich rodziców. Byłbyś krzyżówką niepojętej równowagi hormonów i mózgu z oszalałą ich erupcją.

- Jestem podobny do ciebie, Wanda - odrzekł cicho. - Mówiłem to już. Ty, tak jak ja, nigdy nie jesteś w miejscu, w którym się znajdujesz. Ty się tylko w nim na chwilę zatrzymałaś.

Krzyczę po nocach? - spytała.

Mówisz do ścian - odrzekł. - Ale jesteś poza nimi.

Wstał. Dotknął jej ramienia. Patrzyła wtedy za nim, jak odbiega długim, równym krokiem kogoś, kto widzi swój daleki cel, lecz nie zamierza go zbyt szybko osiągnąć.

Gdzie jest teraz ten przedziwny biegacz, który nie chciał zdobywać. Bo zdobywszy, stanąłby w miejscu.

Wanda wstała. Sprawdziła plażę. Ogarnął ją niepokój. Co go zatrzymało, istniało w ogóle coś, co mogłoby odgrodzić trzynastolatka od tego, co było jedynym uzasadnieniem, że w ogóle tu był?

Zbiegła w dół. Horyzontem sunęły białe żagle, dzwony odległego kościółka poinformowały, iż właśnie przemija czas wczesnego poranka. Wracała rzeczywistość.

Dosłyszała chrzęst piasku. Przysiadła na falochronie plecami do zbiegającego. Wielki cień King Konga, sezonowej miłości Agnieszki, docierał do brzegu. Tam zamarł. Wszedł do wody i natychmiast z niej wyskoczył. Wyprężył się. Przybrał pozę gladiatora, lecz zaraz zachwiał się nieco. Odczekał. Nie patrzył na siedzącą na falochronie.

Wanda pojęła dlaczego. Miał za sobą noc i wiele butelek piwa. Ruszył się. Odbiegał wężykowatą linią. Stwórca dał mu sylwetkę mocarza, zapomniawszy o mózgu. Czyli dobrali się

Agusią.

Spoglądając za podrabianym Schwarzeneggerem, biegnącym nadal wężykowato, nagle zrozumiała.

Łóżko tej nocy w dzielonym z Agnieszką pokoju było puste. Tamto, u koleżanki, u której miała się zatrzymać, zapewne leż. Turkusooka zmieniła adres na tę letnią noc.

Wanda знаła ten adres. Zerwała się. Pobiegła ku brzezinowemu zagajnikowi. Przez wątle listowie przeświecał dach stodoły. Częściowo rozebranej, dzieci bowiem za późno zorientowały się, że oto niszczą własny wspianiały azyl.

Kiwające się na jedynym zawiasie wrota uchyliły się bez zgrzytu. Wanda opóźniała wejście. Miała zawężone pole widzenia. Snopki słomy, zapomniane przez kogoś albo naniesione przez dzieci, wypełniały część niewielkiej przestrzeni. Jeden snopek poruszał się. Czyjaś dłoń poszukiwała zguby.

Wanda znała tę bransoletkę. Z trudem opanowała się, aby nie podbiec. Nie wrzasnąć. Nie trzasnąć w tę czarną loczkowatą głowę, właśnie się wynurzającą. Podeszła spokojnie.

Agnieszka usiadła. Ani trochę zakłopotana. Zajęta jednym - jaki znaleźć wybieg.

Chwilę się sobie przyglądały.

- Nie chciałam budzić cię nad ranem - odezwała się Agnieszka.
- Zawsze byłaś delikatna - przyznała Wanda. Znowu zamilkły.
- Brzydą ci te twoje turkusy a la Taylor - odezwała się Wanda. - Jeszcze rok, a będziesz jak jej prababka.
- Bawiliśmy się do rana - rzekła Agnieszka.
- Widać po tobie. Jak również tamte trzy zaliczone miłości, plus ta czwarta obecna.
- Ty tego nie rozumiesz - odrzekła Agnieszka płacząco. - Jesteś z lodu.
- Zgadza się. Mam dwadzieścia dwa lata i nie zaliczyłam jeszcze żadnego papuasa.
- Myślisz, że jestem zepsuta?

- Nie, koteczku. W rozwiązłości tkwi mimo wszystko jakaś namiętność, coś ubocznie pięknego. W tobie tkwi tylko potrójna ilość hormonów.

Zamilkły.

Nieco oddalony snopek poruszył się. Dwie chłopięce głowy wynurzyły się raptownie i równie raptownie zniknęły. Lecz blond strzecha Damiana została i nie kryła jego oczu.

Wanda zerwała się.

Ale oni byli szybsi. Jednym susem dopadli wrót. Ten drugi uciekł. Damian przyparty do drzewa milczał.

- Od kiedy tu jesteś?! - spytała - No, od kiedy, gówniarzu? Zabraniam ci łazić nocami...

- Chcieliśmy tylko przeżyć noc skautów - przerwał Damian. - Chcieliśmy...

Nie słuchała. Jego oczy kłamały. Głos także. Potrząsnęła chłopcem, przycisnęła mocniej do drzewa. Nienawidzę - rzekł cicho. - Nienawidzę...

Nie powiedział kogo. Jasne oczy pociemniały. Nie było w nich nienawiści. Chciał się w nią schować, ale nie potrafił.

Wyrwał się. Zniknął za wydumą.

Nie pobięła za nim. Może uda mu się uciec od znieawidzonego obrazu. Może nie zrozumiał, na co patrzy. Może był jak tamta sześćioletnia dziewczynka siedząca na skarpie, nierozumiejąca, że kajak już się nigdy nie wynurzy.

Dzwony kościelne nie rezygnowały. Lecz, dziwne, nie niszczyły ciszy. Ci za wydmą nie po nią tu przybyli. Nie znali tej trwającej na mgnienie, tuż przed wstaniem świtu. Nie widzieli balii wody, jak zamiera, aby za moment stopić się z horyzontem w gigantyczne lustro. Nie po to przybyli.

Wanda tkwiła nieruchomo oparta o szorstki biały pień. Wpatrywała się w prześwit między drzewami. Wąska ścieżynka prowadziła w dół, ku domkom ze spadzistymi dachami. Zapewne kiedyś były to urocze wiejskie chałupki. Lecz oto i dla nich nastał czas obowiązujących pozłocień. Przeutalentowany architekt przerobił je na manieryczne koszmarki. Patrząc na nie, miała wrażenie, że spogląda na góralskie pensjonaciki wyrosłe u podnóża morskiej plaży.

Długodystansowiec, i jego oczy, i to, co skryło się za nimi, wciąż był obok. Wciąż tu, przy niej. Zacisnęła palce na szorstkiej korze.

Tam w dole, w góralskich chatach, zasiądą niebawem do stołu. Za godzinę, za dwie ustawią talerze i dzbanki. Artystyczny ćwierćswiatek będzie zajadał serdelową do zielonej sałaty. I nad tą pospolitością będzie rozprawiał o wyższości sztuki nad szarością dnia i, oczywiście, o wielkim wkładzie ludzi ją tworzących. Znała to na pamięć. Wczoraj po kolacji przecięła te wzniosłości. Powołała się na autorytet Orwella. Na jego zdanie o Hollywoodzie, jakimkolwiek. Hollywood to kolonia, a kolonie słyną z tego, że nikt w nich, ani z nich, nie rozwinie skrzydeł. Kolonie bowiem słyną z tego, że są i pozostaną zaściankiem. Nigdy się z niego nie wydobędą, bo zaścianek ma to do siebie, że wrasta głęboko w człowieka.

A przejawia się najostrzej w snobizmie, w moralności, dzielonej na swoją i cudzą, w niedostrzeganiu swego prawdziwego oblicza odbitego w lustrze.

Siedzą tam teraz przy stole. Pakują w siebie serdelową, wzniosłe hasła unoszą się nad nimi, wielkimi, lecz skrzywdzonymi przez niewdzięczny świat.

Lecz wczoraj, gdy oprzytomnieli, nazwali ją wariatką. Na pewno myśleli o niej gorzej, lecz Piotr, jej tatulek, powstrzymał ich samą milczącą obecnością. Spytała go więc, czy podziela zdanie Orwella. Każdy ma swój zaścianek, Orwell też go miał i stamtąd wzięła się jego znajomość rzeczy, odrzekł.

Trafił w sedno. Nie był głupcem. Był przebiegły. Był mistrzem suspensu, prywatnie i zawodowo, kto wie, czy nie lepszym od starego Alfreda Hitchcocka.

Kościół natrętnie wydzwaniał swoje prośby o przybycie.

Ci z góralskich chat nie posłuchają. Wynurzą się nie przed dziewiątą. Znała kolejność miejsc w tym zbiorowym wymarszu. Najpierw wybiegnie pan mecenas Goebbels, zwinny pięćdziesięciolatek z głową oproszoną włoskami. Lecz każdy wiedział, że pod tą cieniutką siwą murawą tkwi wspaniały mózg oszusta, gracza nad gracze, który ich wyciągał z różnych opresji. Dotrze do balii i będzie wstępował do Bałtyku jak ongiś Jezus do jeziora Genezaret. Żaden szok termiczny wątlej ptaszynie nie groził, przyzwyczajony był, wstrząsy były codziennością w jego zawodowym życiu. Jego język nigdy nie mówił tego, co wiedziała głowa.

Za mecenasem wymaszeruje Lucjan, wiekuisty asystent. Jego chuda podrepcze za nim. Byli poślubieni od kilku lat i oboje żalowali, że na wieki.

Potem zaczną wyfruwać gwiazdy. Zawodowo modulowane głosy poinformują świat o pogodzie, o stanie zdrowia i nerwów. Miały je ze stali. Tyle razy umierały z miłości, nienawiści, zazdrości, że te uczucia zneutralizowały się w nich, jak neutralizuje się dawkowana trucizna. Tak więc na plażę przybędą panie, które nie zauważą zmian oczywistych i dokonanych przez naturę. Zmarszczki zostaną pominięte, gabaryty niezauważone. W rzeczy samej były mądre. Miały instynkt te sceniczne kotki. Musiały go mieć, aby przetrwać w kraju, w którym teatr polityczny był milion razy ważniejszy od kultury.

Wtem dostrzegła czarną głowę wynurzającą się z okna. Wiedziała, na kogo czekał, pochmurny jak zawsze. I jak zawsze skupiony.

A więc wiedział, że jego córeczka nie wróciła na noc. A więc czekał. Był zaślepiony, ale nie był głupi. Rozumiał, że nie patrzy na bezbronną nagietkę. Że piękne niewinne turkusy kłamią. Że tej Agusi nie trzeba ochraniać, potrafi to lepiej od niego. Czuł się winien?

- Była taka maleńka - rzekł do Czarnej Wdowy. - Nie pamięta swojej matki.

Niepamiętanie, kochany tatku, jest wielkim szczęściem. Manipulując dramatami na zawodowej scenie, musisz to wiedzieć.

Czekała, wciąż oparta o brzozę. Dzwony umilkły. Głowa tkwiła w oknie i pozostanie tam, aż na wąskiej ścieżynce ukaże się bezbronna nagietka.

Była siódma. A może dalej. Chałupka jeszcze spała, a czarna głowa nadal tkwiła, oczekując. A więc niech czeka.

Azyl był blisko. Dzwony umilkły. Podarunek diabła, powrót pamięci, nie pozwalał się odrzucić.

Pięła się w górę wąską ścieżynką. Wykrot po zwałonym wiatrem drzewie był tylko jej.

Zatrzymała się. W azylu ktoś był. Czyjeś ręce rozwieszały fatałaszkę na przerzuconym pniu.

Wanda cofnęła się.

Za późno. Z wykrotu wyłoniła się figurka karliczki, przywalona plecakiem. Spod nałożonego jarzma spojrzwały na Wandę oczy Melanii zwanej Kartoteką albo polskim Jasiem Hooverem¹. Zbierała haki i obwieszczała je w *Faktach*, piśmidle namiętnie pochłanianym przez górę i dół nieprzesadnie czytanego narodu.

Spoglądały na siebie w milczeniu.

- Nie mylisz się, córko moich byłych przyjaciół - odezwała się Melania. - To ja. Nie ruszę się stąd przed siódmą. Siadaj. Opłaci się.

Ściągnęła Wandę.

- Odpręż się - rzekła. - Jestem *incognito*. Mam fascynujące wieści.
- Nie interesują mnie!
- A powinny. Otóż twój tatulo wyjdzie z cienia. Ma coś, co zelektryzuje filmowy świat, przemiłający wciąż te same seriale.
- Przestań, Mela.
- Bądź cierpliwa. Twój Piotruś zadzwonił do byłego przyjaciela, Karola Baryczą obecnie Karla Baritscha, przez es-ce-ha. Ich przyjaźń połączył pech. Urodzili się w 1960. Wystartowali w sztukę w 1984, dokładnie w sam środek bezrobocia. Trwał tak zwany bojkot. Słuchaj uważnie. Nikt ci tego zjawiska nie wytłumaczy lepiej ode mnie, wtedy też początkującej bezrobotnej. Otóż parnas, latami zbierający bonusy od podłych czerwonych, nagle zauważył, że odebrano mu wolność twórczą. Odwrócili się więc, adeptów zostawiając na gołych deskach. Aktorkom przybywało lat i sadelka. Chłopcy z dyplomami nosili krzeselka i parasole za tymi na planie, jeżeli się w ogóle coś kręciło. Twój nieszczęsny Piotruś przyjął propozycję pracy. U Bogdanka. Harcerzyka, który po równo kochał Boga, jak Lenina, lecz ponad nimi - film. Znalazł się więc na czarnej liście. A twój Piotruś też zapłacił za przynależność, chociaż nie był przynależący. Utracili go. Elżbieta oszalała. Krzyczała i pisała. Że reżimy niczym się nie różnią. Artystyczny od politycznego. Jedno gówno.
- Była odważna? - spytała Wanda cicho.
- Nierozgrzeszająca.
- Znałaś ją dobrze?
- Nie sądzę. Znałam długo, ale czy dobrze?...

- Mela...

Kartoteka nie słuchała.

- Karol przyjechał z konkretnym planem. Piotr go ściągnął, może na swoje nieszczęście. Ma scenariusz. Cudo. *Pewnego dnia we wtorek*. A Karol ma wytwórnię. Ożenił się z nią. Słuchasz?!

Słuchała, ledwo panując nad oczyma. Zawsze ją zdradzały.

Scenariusz przyszedł do ich domu sam, na własnych nogach, wetkniętych w obszarpane portki. Chłopak miał tyle lat co ona, Wanda. Usiadł na krześle pod pokojem Piotra. Ścisnął w rękach pomarańczową teczkę, jak rzecz, za którą odda się życie. Co w niej masz?, zaszepotała do niego. Czarna Wdowa bowiem wyjrzała ze swojej kryjówki wyłożonej aksamitem. Co to jest? Nie odpowiedział. Przycisnął do piersi. Powiedziano mi, wymamrotał, powiedziano mi... Co ci powiedziano?, wyszeptała. W oczach miał strach i zapytanie. Powiedziano, że on nie kradnie.

Zrozumiała. Piotra okradano wiele razy. Wtedy gdy nosił razem z Karolem krzeselka za ważniejszymi. Milczał. Był kimś, kto płonie, skrywając ogień.

- Sądzę, że się dogadają - usłyszała Melanię. - Że nareszcie... - urwała.

Wanda poszła za oczyma Melanii. Nad nimi, na nawisie, kołysały się małe czerwone buciki. Ziemia, popychana kamieniem, obsuwała się powoli z klifu.

Wanda wyskoczyła w górę. Złapała za czerwone buciki, ściągnęła, nakryła dziecko sobą i tak, zlepioni, osuwali się w dół, pokrywani piaskiem. Głaz zatrzymał się przy głowie Wandy. Nie czuła bólu. Krwawiło.

Zgarnęła piasek z twarzy. Osłupiała.

Melania obracała kamerą. Miotła się.

Dziecko nagle zapłakało. Kamera znieruchomiała.

Spojrzały na siebie, potem na twarz dziecka. Chłopczyk, jeszcze urodziwy daunek, jeszcze bez wyraźnego piętna, które pewnego dnia wypali się w jego rysach i skaże na dożywotnią litość czy pogardę ober-ludzi.

Usłyszały czyjś gniewny głos.

Kamera poszła w górę.

Ścieżynką, gniewnie pokrzykując, schodziła boso młoda dziewczyna. Wymachiwała pantoflami na niebotycznych obcasach.

- Znowu uciekłeś, ty mały draniu! Wleję ci, pętaku! Na zawsze zapamiętasz!

-Ty krowo! - wrzasnęła Melania. Kamera znowu ruszyła. - Mam ciebie całą i głupią. Podłaj. Dam na pierwszą stronę. Głowę dziecka i głąz przy niej. Do sądu cię zaprowadzę, dziwko!

Osłupiała dziewczyna podbiegła do Wandy. Wywlokła małego i tak, coraz szybciej się oddalając, ciągnęła go za sobą, aż pojęła, że nie uda jej się szybko stąd uciec. Poderwała dziecko na ręce i odbiegła.

Melania klapnęła w piasek obok Wandy. Milczały.

- Masz mnie za świnię - odezwała się Melania. - Zamiast ratować, sięgam po kamerę. Zgadza się. Każdy reporter jest świnią. Rozgrzebuje. Bywa też diabłem, aniołem, wybawcą. Zależy od zależy. A czasem podżegaczem. Wypaczona jestem. I pozostanę. Lepsza od tych lepszych. Wiem, masz mnie za nic.

- Mylisz się - powiedziała cicho Wanda.

- Zabiłabym każdą, która opuści dziecko. Matka to nieprzemijające zobowiązanie. Aż poza śmierć...

Zamilkła raptownie. Wpatrzyła się w Wandę.

Dostrzegła w Wandzie to, czego nie powinna. Przeklęte oczy, znowu ją zdradziły, zbyt jasne, zbyt duże, niepotrzebnie odziedziczone, zostawiła jej swoje oczy aż poza śmierć. Wanda czuła, jak podnosi się w niej nienawiść. I że znowu zdradzają ją te przeklęte odziedziczone oczy.

- To bywaj! - zawołała Melania

Złapała plecak. Wlokąc go za pasy, wspięła się mozolnie w górę. Nie obejrzała się, nagle do głębi przejęta. Zdradził I a tembr głosu.

Wanda rozciągnęła się na piasku. Melodia słów, zawsze to samo, po niej poznawała intencję.

Były koleżankami. Ongiś. Dwie młode, nieumiejące przebaczać. Co wiedziały o sobie? Studiowały prawo plus trzecia!

Irena Krajnik. Prawo pomagało Melanii w podglądaniu ludzi, uprawomocnić miało cynizm, wyjaśniła. Irena Krajnik, urodzona w staropanieństwie, pozostała wierna dosłowności prawa. Albo czarne, albo białe, a co pośrodku? Niepewność. Strach, że się powiedziało o jedno zdanie za dużo. Komuś nie chciało się osiągnąć brzegu, jak na to patrzy prawo? Niechcenie nie może być odpowiedzialne, niechcenie jest przelotnym nastrojem, a nastrój nie podlega prawnej ocenie. Kim była Elżbieta, ta trzecia? Tylko kobietą? Sześciolatka pozostawiona na brzegu była dla niej daudem. Gdyby pozostał Mały, jej syn, jej miłość, dopłynęłaby.

Leżała nieruchoma. Dzwony ponowiły prośbę o przybycie. Nie ruszy się stąd. Straciła dar zapominania.

Gumka, dziewczynka wymyślona przez Korneliusza, chu-deusza w podartych portkach, posiadała tę sztukę. Pamiętała, nie pamiętając. Skąd on wziął takie dziecko, rozumiejące małość dorosłych, niewolników własnych ciał.

Zafascynowało ją dwadzieścia przeczytanych stron. Mogłaby cytować fragmenty czytane wrywkowo, **GUMKA**. Dziewczynka wtedy ośmioletnia. Milcząca. Nieznająca płaczu. Spadłszy z wysokości, dawała jeszcze popis siły. Odbijała się skocznie od podłogi sali gimnastycznej, jak gumowa piłeczka. Przerażony wuefista najpierw nie znalazł słów. Potem nazwał ją Gumką.

Do dziesiątej strony tekstu Gumka wciąż tkwiła w swoim małym domu, w małym miasteczku, wciąż sama, bez matki, chociaż ta była obok. Może ta nieobecność w życiu matki zafascynowała ją, czytającą pospiesznie tekst. Miejsce Gumki zajął ktoś inny.

Wanda przymknęła oczy. Przeczytany tekst, jak nagrany na taśmę, przesuwał się w pamięci, pełen zgrozy i smutku.

Gumka bardzo wcześnie nauczyła się odróżniać zbliżające się kroki. Niekiedy były lekkie, szybkie, niekiedy skradające się. Wtedy cała stawała się lodem. I czujnością. Ten, który kazał nazywać się **TATA**, przystanął za jej plecami. Ręka Gumki, podsumowująca słupki cyfr, sztywniała. Serce nie mieściło się pod bluzeczką, chciało wyskoczyć.

Mężczyzna nachylił się, sprawdzając słupki. Ręce jego błędziły po plecach Gumki, przesuwały się niżej, wpełzły poza

pasek spodenek. Gumka poderwała się. Trzasnęła głową w jego podbródek. Wybiegła na korytarz.

Matka właśnie wróciła. Popatrzyły na siebie. Ośmiolatka i kobieta przeszło trzydziestoletnia. Potem spojrzwały na drzwi. Właśnie się otwierały. Z ust TATY sączyła się nitka krwi. Przeszedł obok, milczący. Dziewczynka i kobieta patrzyły za nim. Nie padło słowo.

Gumka zrozumiała, matka wie. Zgadza się. Wybrała GO. Ona, Gumka, jest przynętą.

Serce ośmiolatki zamarło. Ominęła matkę. Pobiegnęła przed siebie.

Wanda, czytając, czuła, że i jej serce zamiera. Dziecko zrozumiało, że je okradziono. Skąd Korneliusz wziął taką dziewczynkę? Gdzie Piotr znajdzie podobną?

Wtedy, na stronie piętnastej tekstu, Gumka pokochała szyny. Mogły uciec. Odbiegać przed siebie. Wolne. Niedotykanie. Przemykały lasem, ginęły w dali wciąż wolne. Niedotykanie.

Wanda zapatrzyła się w błękit rozwieszony nad plażą.

Pobiegnęła za Gumką. Szyny przecinały las. Za lasem wyłoniło się zielone miejsce. I szlaban. Stary człowiek wisiał na szlabanie. Śmiał się w głos. Wywijał nogami, podczas gdy czekające na przejeździe samochody wyły klaksonami. Gumka pełna zachwytu patrzyła. Dróżnik zeskoczył ze szlabanu. Podniósł go. Samochody przemykały, z okien szoferek wystawały wygrażające ręce, ale twarze śmiały się rozbawione. Gumka stała, patrzyła, strach przed śliskimi rękoma zniknął.

Bo oprócz lepkich rąk istniał jeszcze człowiek, kolorowy jak motyl, lekki jak ptak. Istniały inne ręce, którym szlaban

był posłuszny. Czyjaś ty?, zapytał wtedy stary kolorowy ptak. Maryli Wolskiej, odrzekła Gumka. Lekarki. Nie znam, odrzekł roześmiany, zdrowy jestem.

Szlaban opadł szybko, za moment z łoskotem przeleciał pociąg, długi kolos z nierozpoznawalnymi twarzami w oknach. Pospieszne tu nie stają, wyjaśnił Ptak, ale ja tu jestem zawsze.

Zapamiętała to miejsce. Na marginesie zapisano uwagę. Nie Korneliusz zapisał. Tylko Piotr. „Dróżnik, stary, suchy, młody w marzeniach. Kogo?”

Wanda wiedziała, kogo by chciał na ekranie. Lecz ten ktoś, kto potrafił być każdym, nigdy nikogo nie grając, zawsze tylko będąc, już odszedł. Mam swego boga, powiedział Piotr. Miał, byłoby ściślej. Wiedziała, kim jest tamten. Drobny, niepozorny, szary, niedbający o kolor. Nie grał. Po prostu był, gdziekolwiek go postawić. Czyjekolwiek miejsce wskazać, już było jego. Stawał się natychmiast kimś tam oczekiwanym. Niezbędnym. Wzmacniającym wymowę słów, milczenia. Nie gestem. Nie słowem. Sobą. Tym, że był.

Zapamiętała tamten wieczór. Migotliwy ekran i Piotra wpatzonego, nieobecnego dla innych.

Na deskach stał aktor. Stary bezrobotny człowiek prezentował obojętnym i niechętnym dyrektorom teatru swoje możliwości. W godzinę zaludnił świat. Był żebrakiem, bogaczem, muzykiem, człowiekiem załamany i zwycięskim, na oczach obojętnych wypełniał scenę postaciami wyjętymi nie z pamięci, nie z doświadczenia, nie z teatru. Po prostu był. Obojętny na chłodne spojrzenia władców teatru. Milczeli. Odwrócił się i odszedł.

Stała w drzwiach. Zapomniała o zapatrzonym w ekran Piotrze. To była nie tylko fascynacja. To było coś, co znała. Ona, wówczas najwyżej ośmioletnia, znała to, ów smak odrzucenia, niepotrzebności, braku własnego miejsca. Czyżby już wtedy była szalona? Zawsze po drugiej stronie?

Piotr miał swego boga.

Elżbieta poszła za swoim na dno.

Leżąc nieruchomo, Wanda miała wrażenie, że kołysze się razem z balią i zawieszonym nad nią błękitem. Nie chciała dopłynąć, niech więc zginie w pamięci na zawsze.

Czarnej głowy nie było w oknie. Już nie czekał. Znał prawdę o swojej Agusi. Ageńce. Córeczce jedynej.

Lecz grał niedoinformowanego. Co zaofiarowało mu to trzecie z kolei dziecko? Mała kędzierzawa główka, oczy jak tafle turkusu, zniewalający urok istotki, która niczego nie pojmuje. To do niej kierował swoje kroki, gdy zapadała ciemność. Pochylał się, wpatrywał. Cień kobiety stał w progu, niemy, nieruchomy. Dziewczynka leżąca obok czekała, wiedząc, że się nie doczeka. Ale czekała.

Obraz na zawsze zapamiętany. Nie do odrzucenia.

- Bardzoś podobna do swojej matki - powiedział kiedyś pan Goebbels.

- Jestem żywa - odrzekła.

- To był wypadek, Wanda.

- Z którego ktoś ocalał. Pan mu pomógł, panie Goebbels. Nie ma pan równych sobie w odwracaniu kolejności wydarzeń.

- Nie było żadnej kolejności - odrzekł. - Kiedyś zrozumiesz. Wypadki jej nie znają. A tak a propos, czy wiesz, moje dziecko, że za nazwisko Goebbels mógłbym cię zaskarżyć.

- Poczulałabym się wyróżniona, panie Goebbels. Rozmowa krótka. Mściwa. Niepotrzebna. Wtedy nie padły jeszcze słowa Ireny Krajnik. Jeszcze woda nie była całkowicie zmacona.

Wsunęła się do domu. Drzwi umiejętnie zamykane nie skrzypiały.

Bezszelestnie dotarła na strych. Klucz leżał pod dachówkami. Wspólny azył, jej i Damiana, był pusty. Dokąd pobiegł ten długodystansowiec, który nie chciał osiągnąć celu? Stodoła biegła równolegle z nim? Niewykluczone. Miał trzynaście lat, wiedzę poskładaną z cudzych odkryć, migawkowe spostrzeżenia własnych oczu, które mu niewiele wyjaśniały. Ponoć był z pokolenia, które przeskoczyło dwa następne po własnym. Mogli udzielać rad i nakręcać filmy porno nie tylko z wyobraźni. Lecz on nie był jednym z nich. Zabawki nie zastępowały mu człowieka. Miał Wiktora, kolegę piłkarza, takiego na śmierć i życie. A Wiktor miał brata Mariana, kochającego kamerę, też na śmierć i życie. Opętani byli. Wspaniali.

Ci na dole zaczęli się ruszać. Najpierw pojedynczo, potem zespołowo. Ogonek do dwóch łazienek wydłużał się zapewne. Na podwórku skrzypiała pompa, ktoś, przeklina-

jąc, uruchamiał hydrofor. Piskliwy kobiecy głos informował świat o stopniach Celsjusza. Drugi, też babski, odpowiadał, z pięknie wypracowaną dykcją. Ot, zapomniane wielkości. Może nawet kiedyś nimi były. Lecz pobiły. Syndrom owiec. Wtedy, w tamtych osiemdziesiątych latach, dla jej pokolenia prehistorycznych i rozśmieszających brakiem logiki, której to brak jest znakiem rozpoznawczym mędrców, zmieniających bardzo złe na jeszcze gorsze. Lecz być może miały to już przekwitłe światło w sobie. Lecz uległy modzie dzielenia ludzi na lepszych i gorszych, zgodnie z nową etyką, aż tu nagle okazało się, że pomyliły nazwiska, do których należało stać plecami. Do dziś nie pojmowały, że sztuka i polityka, gdy się nawzajem uzależnią od siebie, stają się farsą.

Słuchała. Kilkakrotnie padło nazwisko Karola Baryczą, obecnie Baritscha, przez es-ce-ha. Znała go, gdy nosił krzesła za wielkimi. Miał rozbiegane oczy i rozpacz w nich. Wyszedł z tego. Pomogła mu Hilda, ze swoją odziedziczoną wytwórnią.

Nadal odmieniano tam na dole nazwisko Karola przez przypadki. Stał się dla nich obietnicą poranka. Słońce znowu wszędzie dla nich, film jest niezwykle pojemnym dziełem, pochłania rzeczy, osoby i nazwiska. Daje niewyobrażalne szanse zaistnienia ponownie.

Kartoteka dawkowała informacje o scenariuszu. Nigdy nie precyzując, precyzja bowiem w jej zawodzie jest pułapką. Niedomówienia - mistrzostwem.

Nie domawiała więc tam na dole. Wytwórnia produkowała filmy dokumentalne, ale to żadna przeszkoda. Byli z nią

zgodni. Żadna. Berlin, jak wiadomo, nie leży w polskiej ojczyźnie. Nie musi kłaniać się parnasowi. Temu od sztuki i od pieniędzy. Też byli zgodni.

Leżała na zakurzonych deskach. Pająki huštały się nad nią na swoich nitkach.

Nie zejdzie na dół. Zignoruje serdelową i sałatę. Odczeka, aż karawana gwiazd ruszy gęsiego na plażę i okopie się w swoich szańcach.

Długodystansowiec nie wracał. Bulaj w dachu był otwarty. Często leżeli pod nim, oboje milczący, blisko siebie, dwudziestodwuletnia dziewczyna i jej trzynastoletni półbrat.

W kącie, w rozbitej misce, leżały bursztyny, jakiś kolczyk, pozostałość po dziecięcej miłości, zasuszony badył. Trzymał niekiedy ten kolczyk, gdy mówił. Wyglądał wtedy, jakby nie był tutaj obok, tylko za najdalszym horyzontem. Nie chciał go przefrunąć. Latanie jest niczym, powietrze unosi, wysiłek jest niepotrzebny. Jedynie bieg z żółtym piaskiem pod stopami, z oddechem, który niekiedy ma dość, z oczyma na nieosiągalnym horyzoncie jest czymś największym. Pokonaniem siebie. Dlaczego mówisz to właśnie mnie?, pytała wtedy cicho. Bo milczysz, odpowiadał. Mówisz oczyma. Są oddalone. Też chcesz dotknąć czegoś, co nieuchwytnie.

Chciała. Za wszelką cenę. Wyjaśni ten ciemny przemilczany punkt.

Gumka miała matkę, która wybrała obcego. Mężczyznę o śliskich rękach. Zapamiętała ostatni dzień czternastolatki. Odchodzącej na zawsze.

Stały naprzeciw siebie, matka i Gumka. Kobieta i jej dziecko. Słowo „wyjeżdżam” już padło. Utknęło między nimi. Milczały. Odgradzał je tamten dzień, gdy TATO wyszedł z pokoju z krwawiącymi ustami. Odgradzały słowa. Zabiję to, gdy mnie dotknie. Pamiętały o tym sześć lat. I sześć lat milczały, jak teraz, stojąc naprzeciwko. Gardzisz mną?, spytała wtedy matka. Jesteś ćmą, odrzekła cicho dziewczynka, to się ludziom przydarza.

Wanda zacisnęła oczy.

Pamiętała tę scenę. Przegarniała wtedy kartki, jak oślepią. Kim była NIEOBECNA? Czym? Tylko ćmą? Urywek zakreślony czerwoną kredką. A więc Piotr zatrzymał się w tym miejscu. Przeszedł przez to? Nie znalazł szyn, którymi mógłby odbiec? Co było między nimi? Co ją przyssało do dna? Tylko chłopiec, którego porwał nurt podwodnej rzeki? Nieprawda. Nie dno ją przyssało. Coś więcej zabroniło jej wrócić. Na pewno jest ktoś, kto zna prawdę. I ten ktoś powie. Zmusi go.

Pokój był pusty. Bezbronna nagietka jeszcze nie wróciła.

Wanda rozciągnęła się na łóżku. Ze wspólnego pokoju, zwanego jadalnią, bawialnią, salonem, zależy od konieczności, dobiegał szczepek rozkładanych sztućców. A więc zasiedli do konsumpcji.

Głos Karola Baryczą, umiarkowanie rozbawiony, zaspokajał ciekawość artystów. Przebijał go donośny mezzosopran Kartoteki: Słuchajcie mnie, ludzie! Mącić wodę w wielkim kraju to żadna zgroza. Trudno zdemoralizować wielki kraj, skoro już to się tam stało. Ale nadal wszystko tam jest *very very very much* i to jest dobre. Mają tyle kościołów, wyznań religijnych, że nie sposób je poróżnić. Nic im nie grozi. Co innego nasza maleńka bogobojna ojczyzna. Niepodległa, ale płacąca haracz innemu państwu. Wiecie, o kim mówię, pobożni bracia i siostry, solidarni w pożeraniu salcesonu nie najlepszej produkcji. Kto go kupił za cząstkę mych pieniędzy, jakież to tuman?

- Nie wygłupiaj się, Mela - odezwał się Lucek, wiekuisty asystent.

Wszczął się spór, umiejętnie podsycany przez Karotekę. Pisali za nią artykuł, za który w swoich *Faktach* weźmie wierszówkę. Zatytułuje „Echa powyborcze”. Przemyci własny osąd przez czyjeś usta, ośmieszy cudzym głosem, sama pozostając niewinna.

Wanda zatrzaskała drzwi.

Zdążyła dostrzec Teresę przemykającą cicho z talerzykiem kanapek. Postawi to pod drzwiami strychu. Nie zapuka. Nie sprawdzi, czy już wrócił.

Czyjeś palce zakleszczyły się na parapecie. Purpura paznokci powiadomiła, że oto wraca bezbronna nagietka.

Wylądowała zgrabnie na podłodze. Nie spodobała się jej obecność Wandy.

- Nie jadasz śniadań? - spytała.

Zrzuciła cienki sweterek. Ramiona miały sińce. Nie od pobicia.

- Pewnego dnia ojciec odda cię do zakładu. Na odwyk -odezwała się Wanda.

- Nigdy tego nie zrobi. Ty tak. Ty byłabyś zdolna.

- Byłabym - zapewniła Wanda.

- Nie jestem pijaczką.

- Pozbądź się King Konga. Jak najszybciej.

- Nie wiem jak.

- Nie wiedza jest potrzebna. Wystarczy pomysł.

- Ty byś go znalazła. Masz dwadzieścia dwa lata. Jesteś stara.

- Jestem. Nie zaliczyłam dotąd żadnego papuasa, mówiłam już. Odróżniam małpę od człowieka.

Agnieszka opadła na łóżko. Spod szopy czarnych kędziorów spoglądały piękne niewinne turkusowe tafle. Bardzo zdziwione światem i na zawsze bezpieczne w swoim kokonie głupoty.

- Weź prysznic - doradziła Wanda. - Graj perfekcyjniej. Żyjemy w świecie ojców-dyrektorów. Może zażądamy od ciebie świadectwa czystości w twoim drugim podejściu do matury.

- Nie chodzę do szkoły pijarów.

- Oni są wszędzie, kotku. Tam, w jadalni, przy serdelowej i salcesonie też.

Ktoś zapukał do drzwi, ale nie wszedł.

- Spotkałam Karola. Nadal jest przystojny.

- Bogaty. To weź pod uwagę. A jego Hilda ma już czterdzieści lat.

- Spotkałam też ojca. Szedł z jakąś babą.
- Gdy go spotkasz bez baby, bądź zaniepokojona. Agnieszka usiadła.
Nagle się rozplakała.

Nie była to gra. Coś się wydarzyło pomiędzy. Wanda podeszła, przysiadła obok. Wbrew sobie objęła Agnieszkę. I wbrew sobie poczuła żal. Na Boga, do kogo?

Rano. Dziewiąta

Skonsumowali śniadanko. Powędrowali truchcikiem na plażę. Świergotliwe głosy nakładały się na męskie barytony. Na przedzie szedł kapelusz panama, czyli Karol Ba-ritsch przez es-ce-ha. Otaczał go wianek nagłych przyjaciół. Lata temu był kimś na posyłki. Długo. Jak Piotr. Ale Piotr raptem oderwał się. Przemknął przez małe oczko, nakręcił średniometrażowy film, rzecz - zdaniem parnasu - błahą, niech ma!, i wziął za tę błahostkę trzy nagrody na festiwalu w Salzburgu. No i znowu się zaczęło. Przestał istnieć! Ośmielił się!

Być może, że to oddaliło od siebie dwóch byłych chłopców na posyłki. I teraz Karol da mu do zrozumienia, że przyjaciel nie miał prawa wygrać. Powinni byli solidarnie trwać na uboczu. Latami pozwalali się okradać z pomysłów. Pisali

nocami scenariusze, mające wstrząsnąć krajowym kinem. I tkwili w zapomnieniu.

Ciekawe, czy teraz wyjdą solidarnie z cienia. Nie zapomną, że triumfem trzeba się dzielić. Niepodzielony triumf może być ostatnim. Przekonał się o tym Jerzy Antczak. Ośmielił się nakręcić film, który nazwano eposem. Dali mu szansę, ci z parnasu, sięgnął bowiem po starożytną Marię Dąbrowską i jej *Noce i dni*. Niech padnie.

Nie padł, o zgrozo! Zrobiono wszystko, aby film nie dotarł na festiwale w kraju czy za granicą. A jeśli dotarł, to nie w komplecie. Zawsze zagubił się po drodze jakiś akt. Trudno, paragraf 22. Załatwione. Trudności techniczne. Sam to opisał, nadal przestraszony, chociaż od dawna istniał bezpieczny za Wielką Wodą. Znalazł się tam po swoim triumfie, skazany na bezrobocie, on i jego aktorka Jadwiga Barańska, niezapomniana Hrabina Cosel.

Wytwórnia Karola mieści się w Berlinie. Berlina nie wybudowano w Polsce. A więc powinni być w miarę bezpieczni ci dwaj, którzy przeniosą Gumkę na ekran. Jeśli dojdą do porozumienia i przeniosą, dowiedzą się znowu starej prawdy, że dobre jest tylko to, co innym służy.

Odczekała, aż ostatni cień małej karawany zniknie z podwórka.

Długodystansowiec nie pozostawił po sobie nawet cienia.

Teresa, zgodnie z uchwalonym przez siebie regulaminem, zapewne biegła wzdłuż wybrzeża lub siedziała na falochronie, może czekając na kogoś, a może nie.

Okno pokoju ojca było niedomknięte. Wskoczyła do środka.

Pomarańczowa teczka leżała na stole.

Gumka akurat docierała do domku dróżnika. Był pusty. Stary kolorowy Ptak opuścił swoją klatkę. Nie wisiał na szlabanie. Lecz był gdzieś w pobliżu, roześmiany, beztroski.

Rozejrzała się. Drożyny też nie było.

Gumka miała osiem lat i była tak chuda, że z łatwością wcisnęła się do małej szafki pod stołem. Czekwała cichutko. Dróżnik lubił być straszony. Cudownie się bał. Zaśmiewali się wtedy we troje. Drożyna pytała, ile ty masz lat, stary?

Był to fragment scenariusza, do którego Wanda wracała trzeci raz.

Drożyna właśnie weszła do wnętrza budki. Odłożyła torbę z zakupami na krzesło. Gumka czekała cicho na starego.

Drzwi się otworzyły. Weszły buciory. Potem drugie. Przez półprzymknięte drzwi szafki Gumka dostrzegła maziste błoto na buciorach. Nie przyszły drogą. Nie na widoku. Przedarły się przez bagna.

Skamieniała. Nie ze strachu. Skamieniała, aby nie zdradził jej szelest. Skrzyp drzwiczek. W Gumce było coś, co zawsze przestrzegało ją w porę. Przed dotykaniem. Przed uderzeniem. Wielka łapa...

Wielka łapa uszargana po łokieć sięgała do kasy. Drożyna nosiła ją w płócienną torbę. Cały utarg z gazetowego kiosku.

Stopy Drożyny znieruchomiały. Głos, który był zawsze szybki i donośny, nie mógł się wydobyć.

Gumka dostrzegła tuż obok, na podłodze, nóż zapomniany przez Dróżnika. Krajał nim kęsy chleba albo zielsko, albo dokręcał śruby. Złapała nóż i wbiła go po nasadę w wielką stopę. Usłyszała ryk. Bucior nie mógł się ruszyć.

Gumka miała nie tylko giętkie ciało, które mieściło się w szafce. Miała siłę w rękach i spryt kota, który zawsze spadał na cztery łapy. Sięgnęła po młotek i wbiła nóż głębiej. Wycie wzmagало się. Drożyna wybiegła. Przez drzwi wpadli Dróżnik i grzybiarz. Gumka była już niepotrzebna. Wymknęła się niepostrzeżenie. Po czym po raz drugi weszła do budki swobodnie. Znikąd. Dróżnik zamrugał. Zrozumiała. Dostrzegł ją wymykającą się. I zachował dla siebie, aby buciory nie mogły jej kiedyś ścigać. Wanda zamknęła tekst.

Przyjaźń. Kto postawił tych troje na drodze? Spotkali się, nie szukając. Nie okradali się ze złudzeń. Nie płacili za pomoc. Zachowali niezależność, nie zauważając tego, było to bowiem zupełnie naturalne. Prawdziwe na prawdziwym miejscu.

Kto podpowiedział Korneliuszowi, że prawdziwy honor istnieje, chociaż nazywa się prościej? Ma niewytarte słowo. Tekst był marzeniem czy pożegnaniem z nim? Przygarniał teczkę do siebie, gotów się za niego zabić. To nie był tylko tekst. To było marzenie o kimś.

Drzwi się otworzyły. Wszedł kapelusz panama. Za nim Piotr. Popatrzyli na pomarańczową teczkę. Potem na Wandę.

- Możesz zostać - rzekł Piotr.

- Nie mogę - odrzekła. Wyskoczyła oknem.

Popołudnie

Piegowate lustro odbijało wnętrze pokoju. Zanosiło się znowu na przyjęcie. Wanda zatrzymała się w progu.

Piotra i Karola nie było. Szkoda, zamknęli jej dostęp do pomarańczowej teczki. Siedzą nad nią. Przetarg trwa.

Za oknem zagrzmiało, padły pierwsze krople. Jak zna tych usiłujących się zabawić, lipcową pogodę zepsuł rząd, jak resztę. I jak zawsze, ktokolwiek na wysokich stołkach zasiadał, powinien odstąpić je mądrzejszemu. Ograna ballada.

Przyglądała się bez uśmiechu. Ale oczy i tak zdradzały, że przepelnia ją drwina.

- Wandeczko, nie bawisz się? - Usłyszała za plecami.

- Wandeczka się nie bawi - odrzuciła, nie oglądając się. Mecenas Goebbels, dla innych doktor Wysocki, znakomity karnista, wyłonił się zza czyichś pleców.

Popatrzał na usiłujących się rozerwać. Zaśmiał się. Starego wyjadacza bawiło wszystko. Grał więcej ról na sądowej scenie, niż oni, artyści, kiedykolwiek zagrają. Znał wszelkie uniki i wymowę przemilczeń. Za dużo kłamliwych sztuk wyprodukował i za wiele kłamliwych zeznań wysłuchał, aby nie miał klucza do sceny na małym planie bawialni.

Spektakl się rozkręcał. Panie znające się na rzeczy zachowywały umiarkowany dystans, zapamiętały bowiem, że im bardziej pragnie się wielkiej roli, tym mocniej trzeba podkreślać niezależność. W zabawie zwanej rywalizacją zawsze jest to konieczne. Były nie tyle mądre, ile doświadczone. Prze-

żyły to wiele razy. Melania miała rację. Aktorstwo to piękny zawód. I niebezpieczny dla obu stron. Miały charakter te dziewczyny już nie w dziewczęcym wieku. Miały go, trzeba przyznać.

Lecz gra toczyła się o role nie dla nich. Gumka jeszcze się nie narodziła.

- O, teutończyk zniknął - zauważył mecenas i ruszył w głąb pokoju. Po drodze porwał w ramiona jakąś obcą wiotkość i przetangował pokój po przekątnej. Przetangował. jego słowo. Miał pięćdziesiąt lat, lecz upodobaniem tkwił w odległych czasach. Kochał Eugeniusza Bodo i Żabczyńskiego bardziej niż siebie. W tej chwili uważał zapewne, że jest jednym z nich i że w ramionach trzyma Zulę Pogorzelską. Z nieopisaną gracją prowadził ową obcą wiotkość, całą w bieli, z autentycznym wdziękiem.

- Ta mała to niezidentyfikowany obiekt - usłyszała za sobą. - Już raz ktoś ją do nas wprowadził. Albo wpędził deszcz.

Wanda nie obejrzała się.

Melania stanęła przed nią, interesując się tylko pokojem.

- Rdza ich przeżera, Wanda. Teatr i książki bardzo późno trafiły pod strzechy. I już opuściły. Z wyższego nakazu. I wyższych cen. Lud kupił telewizory i zaklinował się przed nimi w domach. A możni świata wciskają im na ekrany, co chcą. I co konieczne. Nie muszą nawet chodzić do kościoła, msza sama przyszła do nich. Nie tylko ci, na których patrzysz, pogubili osobowość. Tamci sprzed ekranu też. Niedługo uwierzą, że bocian przynosi dzieci. I że prezydenta powołał Bóg. I ci, na których patrzysz, i tamci spod strzech zgubili

osobowość. Zauważają natychmiast stratę drobiazgów, śmiecia, ale że zgubili najważniejsze, nie dostrzegą nigdy.

- Nie popisuj się, Mela. Nie jestem podatna.

- Niepodatni też przegrywają. Zamilkła. Przytrzymała Wandę.

Wiotkość prowadzona rękoma Goebbelsa wyzwoliła się nagle. Przepłynęła sama. Odmieniona. Nie dotykając podłogi, unosiła się nad nią.

Szczęk sztuków ucichł. Kilka postaci zastygło pod ścianą.

- Jak wtedy - powtórzyła cicho Melania. Wpatrywała się jak urzeczona. - Jak wtedy. Burza zagnała nas do Ireny Krajnik. Miała domek, do którego się wchodziło albo wychodziło, albo spało. I ona przybyła znikąd, płynęła przez pokój. Jak jaskółka. Wolna. Niedościgniona. Jak marzenie. Samce podpierały ścianę, pochłaniały zjawisko. Piotr już budował kadry. Już ją miał uwięzioną w kadrze.

- Kiedy to było, Mela?! - spytała gwałtownie.

- Bawiłaś się jeszcze lalkami. Primabaleriny nie istniały dla ciebie.

- Była nią?!

- Stawała się. Zamilkła.

Zjawiskowa jaskółka opuściła skrzydła ramion. Osuwała się powoli, aż nagle, jak przełamana wpół, opadła na podłogę.

Cisza trwała. Nikt się nie ruszał.

Wanda się obejrzała. Melania zniknęła. Głośne oklaski wypłoszyły tragizm.

- Śmierć Ikara - powiedział ktoś za jej plecami. Odwróciła się raptownie. Idol wsi. Dziennikarz informujący świat o stanie zdrowia i liczebności bydła.

- Znasz obraz, Idol?! Taki jak ty! Taki ktoś!

- Owszem, taki ktoś jak ja - potwierdził. Nie usuwał się z drzwi.

- Chcesz się przytulić? - zaatakowała go.

- Czemu nie - odrzekł ze swoim nigdy nieprzemijającym spokojem.

Nie był zbyt urodziwy. Wąska czaszka, wąskie oczy, suchy profil, sylwetka mężczyzny nigdy nienajedzonego do syta.

- Wypuść mnie!

Usunął się z przejścia. Wypadła na podwórko. Lało coraz gwałtowniej. Błyskawice przecinały niebo.

Biegła przed siebie. W graj dołach mokły porzucone bagaże. Kilka kropeczek ludzkich uciekało ku wydmiu.

Śmierć Ikara. Obraz, który oglądała, wstrzymując oddech, nie rozumiejąc dlaczego. Nie tylko piękno obezwładniało. **GROZA. ONA!** Pojęła nareszcie. Widziała taką śmierć. Opadanie ciche, aż do dna. Bez świadków. Dziecko na brzegu nie liczyło się. Nie pojmowało jak ci, patrzący niemo na opadanie Ikara.

Skoczyła z falochronu w zbełtaną wodę. Wessała ją, aby za chwilę wyrzucić. Na moment zabrakło tchu. Powrócił. Przecinała grzywy, parła w głąb, lecz morze było nieustępliwe. Nie chciało jej. Odrzucało. Wiatr nadlatywał, nie wiadomo skąd, ciemne niebo wisiało nad nią tylko przez mgnienie. Natychmiast zalewała je woda.

Pojęła: nie chce osiągnąć brzegu. To prawda. Czasami się nie chce. W oziępiałym mózgu zanika instynkt przetrwania. Tajemna siła pcha na dno.

A więc tak to było. Tak to jest.

Potężny bałwan cisnął ją na falochron. Ciało uderzyło w oślizgłe pale. Czyjaś dłoń złapała ją za włosy. Potem za kark. Zakleszczyła na ramieniu. Dwie silne ręce wywlokły ją na piasek.

Leżała nieruchomo. Oddech nie wracał. Pod łopatką pi-kotało, powiadamiało, mam dość, za moment zatrzyma się moje szalone bicie.

Fale nie rezygnowały. Podpływały ku niej. Usiłowały porwać. Zagarniały łapczywie.

Czyjeś ręce wciągnęły ją w głąb plaży.

Leżała bez ruchu. Ciemna skamieniała sylwetka tkwiła obok niej.

Wanda usiłowała się podnieść.

- Jeszcze nie - powiedział głos Karola.

- To ty? - Nie poznała swego głosu.

- To ja.

- Co tu robisz?!

Nie odpowiedział. Podsunał małą płaską butelkę do ust Wandy.

Uniósł jej głowę.

- Wypij!

Było gorzkie. Pałace. Dawało ciepło.

Podniósł ją powoli. Podtrzymywał. Dotarli na szczyt wydmy. Błyskawice nadal szalały i nadal lała się rzeka wody z nieba. Za plecami wyłoniła się stodoła. Usiedli pod skrzyd-

łem wrót. Gromy biły, tonęły w morzu, drzewa targane wiatrem gięły się w pokłonach, chrobotał dach stodoły, za chwilę się zwali w dół.

- Niesamowite - szepnęła.

- Widowiskowe.

- Skąd się tu wzięłeś, Karol?

- Po prostu byłem. - Umilkł. - Dostrzegłem postać pchającą się pod prąd. Przecinającą grzywy. Fale nią miotały. Wyrzucały na brzeg i znowu zagarniały. Schodziłem powoli w dół. Skamieniały. Nie poznałem ciebie. Parłaś w głąb, jak oszalała. Patrzyłem zafascynowany.

- Zafascynowany?! - krzyknęła cicho.

- Zbiegłem w dół. Poznałem cię. Wywlokłem na piasek. Usiłowałaś wstać. Tak wstaje ktoś, kto sam zdecydował, czy zginąć, czy żyć.

Milczała.

- To było fascynujące - powtórzył.

- A ty nie miałeś kamery przy sobie!

- Bardzo żałowałem. Zamilkła.

Nagle pojęła ten ich szalony świat. Zarejestrować śmierć. Zawalenie się kosmosu. Zginąć razem z nim, wciąż rejestrując. Nieważne, że nic nie ocaleje. Ważna jest fascynacja. Obłąd.

- Paranoja - powiedziała cicho.

- Jakże piękna.

Objął ją ramieniem. Czuła. Tylko jak starszy brat.

- Znałeś Elżbietę? - spytała nagle.

- Grała w mojej etiudzie szkolnej.

- U Piotra grała siedem lat. Fascynująca sztuka, prawda, Karol?
- Prawda - potwierdził. Wstał. - Chodźmy. Bo zabiorą nas stąd prosto do szpitala. Może do wariatkowa.

Wieczór

Burza odpłynęła. Deszcz nie ustawał. Podtopiony ogród kołysał się cały, targany wiatrem.

Przebrnęli przez kałuże. W lustrach jezior odbijało się światło okien i cienie drzew. Karol przystanął. Znowu się do czegoś przymierzał. Obliczał.

- Paranoiczny zawód plus bujna słowiańska natura. Jak to znosi twoja Hilda? - odezwała się.

- Jak inne. Niemające wyboru. Zatrzymali się w progu.

- Idź! Czeka ją na ciebie.

Wzruszył ramionami. Wchodząc, obejrzeni się w lustrze. Dwa przemoczone potwory obsypane piaskiem.

Wbiegła na strych. Klucza pod dachówkami nie było. Czyli Damian wrócił. Pokonał najdłuższy dystans, każdym metrem oddalając się od stodoły. Niewiele zostało mu czasu. Jeszcze rok, najwyżej dwa, i pozna podły przymus natury.

Kimże byłeś, przemądrzały panie Darwin, opisując gatunek ludzki? Co tak naprawdę nosi w sobie to człowiecze zwierzę? Co je popycha do nienawiści, szaleństwa, śmierci, tej najbardziej niebezpiecznej miłości ludzkiej? Spełnia się bowiem zawsze. Wystarczy nie chcieć powrócić. Śmierć jednakże nie jest chwilą, panie Darwin. Sprawdziłam to. Ona trwa. Przekazana pamięć o niej nie milknie latami. Albo nigdy.

Gumka też to poznała. Pewnego dnia zastała biały domek pusty. Obcy młody człowiek kręcił korbą szlabanu, nie patrząc na nie. Drożyna wpatrywała się w opadający szlaban, niema jak kamień. Ptaka nie było. Zginął, bo chciał. Za stary był dla innych. Pospieszny nie mógł się zatrzymać. Nie mógł! Nie mógł! A powinien!

Objęły się. Młody człowiek nie patrzył na nie. Gumka odbiegła. Szyny przecinały las. Wpadały w łąki. Znowu ginęły wśród drzew. Biegła i biegła. Następnego popołudnia opuściła miasteczko. Zabrała tylko obraz kolorowego Ptaka wiszącego na szlabanie.

Damian spał z głową w bulaju. Złapała szczudłowate nogi i wciągnęła w głąb. Nie drgnął nawet. Oddychał głęboko. Narzuciła na niego dziurawy sweter. Zrzuciła mokrą sukienkę. Położyła się obok.

Był dzieckiem kobiety, która mogła go mieć z kim innym. Nie musiała *przyjąć* małej roli w następnej etiudzie Piotra. Weszła w obcy dom, niezapraszana. Weszła spokojna, zagrażająca tym spokojem Czarnej Wdowie, wysiadującej fotele w pokoju wyściełanym aksamitem. Nie przyjęła wskazanego miejsca. Wybrała swoje. Ostentacyjność czy mądrość? Dom był opustoszały. Ireny Krajnik, urodzone w staropanieństwie, przestały przychodzić. Melanie, nieznające granic przyzwoitości, i adwokaci, bijący na głowę swoją wyobraźnią wszelkich arcyaparazzich, także nieczęsto przypominali sobie ten adres. Zdarzenie, które nie ma świadków, nie istnieje. Lecz pozostaje aura. Zapach nieudowodnionej winy. Czula go zawsze. Lecz dlaczego teraz, nagle, obraz odzyskał wyrazistość? Dźwięk. Zamierające światło. Co wyrwało pamięć z niepamięci? Głupie słowa kobiety urodzonej w staropanieństwie? *Czasami nie chce się dopłynąć*. Nie chce się. Sprawdziła to. Ale się dopływa.

Zerwała się. Usiadła na schodach. Posłyszała ściszony głos. Pod schodami, we wnęce, ktoś był.

Podniosła się bezszelestnie. I zamarła. Poznała baryton ojca.

Usiadła.

Tamci na dole milczeli. Zbierali słowa czy przesiewali już wypowiedziane.

- Wiem, że mnie nie tropisz, Tessa. - Dosłyszała stłumiony głos Piotra. - Nie twój styl. Wiem, że wiesz i że wiedziałas zawsze, że wciąż czegoś szukam. Nie znajduję. Obojętne ci to było?

- Czasami.

- Melania napomknęła w swojej kartotece, że myślisz o rozwodzie.
- Nie udzieliłam jej wywiadu.
- Tak więc, na wypadek gdyby Melania się nie myliła, mówię: nie oddam ci Damiana. Nigdy. Wspominam to na wszelki wypadek.
- Odpowiem ci też na wszelki wypadek: nigdy nie zranisz własnego dziecka. Nie będziesz go wrywał. Grał nim.
I o niego. Nie użyjesz go jak karty przetargowej. Mam pewność. Nie znam ciebie. Ale mam pewność.

Zapadła cisza.

- Roztrzaskałem się - powiedział głos Piotra.
- Za długo jesteś na uwięzi.
- Ten film to moje przetrwanie. Nie wiem, Tessa, dlaczego w to wierzę. Coś w nim jest. O nas. O ómach. Ty nią nie jesteś. Nie spalasz się od wewnątrz. Nie pociągasz innych. Potrzebowałem tego.
- Wiem.

Zapadła cisza. Stali tam naprzeciw siebie, wpatrując się zapewne w swoje twarze. Szukając odpowiedzi w oczach. Stali długo. Po czym zaskrzypiały deski w niszy zwanej konfesjonałem. Poszli. Za chwilę wmieszają się w maleńki tłum.

Wanda wpatrywała się w belki poowijane pajęczynami.

Zatrzymali się przy sobie, wiedząc, że często będą się mijali. Zdumiewające. W dystansie tkwi ocalenie, powiedziała Teresa. Z całą pewnością coś w tym jest. Nie znała dystansu ta **NIEOBECNA**. *Czasami nie chce się dopłynąć. A powinno!* Gdy na brzegu zostaje małe dziecko. Żyli w świecie nieustającej rywalizacji, powiedziała stara panna. I co z tego,

wszyscy żyjemy. Instynkt samoobronny nigdy nie służy drugiemu, zna to każde dziecko. Lecz znać a wykorzystywać to dwie wykluczające się postawy. Obłąd. Właśnie w niego popada.

Orwell znał ten ich świat. Nienawidził i ośmieszał. Inne były to lata, inna geografia, lecz akcja wokół kina wciąż taka sama. Melania-Kartoteka stworzy arcydzieło pomówień na skrawku papieru i zbierze monejki, oni zaś potrzebują milionów. Wiedzieli o tym.

Co czuje człowiek, za którym nikt nie stoi. Koleżeństwo to uwarunkowana lojalność. Dom, jeśli go mają, to przechowalnia, noclegownia, a czasem wrogi obóz. Za nieobecność się płaci. Zawsze. Płaci powracający po tygodniach i TA, która tygodniami rozmyślała, co wydarza się tam, gdzie jej nie ma. Jaka toczy się gra? I z kim?

Była nieprzebacząca, powiedzieli. A on ciągle poszukujący. To nie przystaje do siebie. Jest jak mieszanka wybuchowa.

Ponoć miała JEJ twarz. A jeśli, to również uśmiech, przeważnie gorzki. Ironiczny. To nie zjednuje, to oddala przyjaciół, jeśli się ich naprawdę ma.

Muzyka na dole pobrzmiewała bardziej lirycznie. Umilkły tam-tamy. Zapewne zabłąkana pod dachem jaskółka przepływała po skosie. Pożerana oczyma, jak WTEDY tamta, dwadzieścia lat temu. To był wirujący seks, powiedziała Melania. A oni, podpierający ściany, marzyli, aby choć na moment stać się Patrickiem Swayze. Aby się objąć i już nie wypuścić. Z ramion czy z kadru. Zależy.

Posłyszała głos Damiana. Którędy zszedł? Zsunął się po dachu? Uprawiał ten sport. Przeciskał swoje kości przez bulaj i zjeżdżał, śmiejąc się jak szalony, jak tamten stary Ptak wiszący na szlabanie.

Zeszła na dół.

Istotnie, zjechał po rynnie czy dachu. Mocował się teraz z okiennicami, sam cały mokry. Przyklejona do żeber koszula zdradzała ich kruchość. Śpiewał, lubił deszcz, burzę, słońce, wszystko. Śpiewał dźwięcznie, lecz już pojawiały się w głosie nutki jakby z innej partytury. Jeszcze chwila i sam popatrzy na siebie w osłupieniu, jak na kogoś z innej książki.

Utknęła w progu, niezachęcana przez nikogo do wejścia.

Tańczyli. Wtem z kąta wypłynęła biel. Płynęła z nieopisanym wdziękiem w jakiś bezkres, który miała przed oczyma. To nie był taniec. I w żadnym wypadku wirujący seks.

- Pogranicze boskości - powiedział głos za jej plecami. Odwróciła się. Wąskie oczy, wąska twarz i ta sama chudość.

- Na tym też się znasz? - spytała ironicznie.

- Nie stoję w progu - odrzekł.

- Jak ja?! - krzyknęła cicho. Cofnął się, potem przybliżył.

- Co się dzieje, Wanda? - spytał cicho.

- Gówno!

- Na tym się znam. Nie cuchnie z tak daleka. Co się dzieje?!

- Obchodzi cię to, Idol?

- Dziwne. Ale tak. Obchodzi. Zabij kogoś, jeśli musisz. Albo siebie.

Wywal to z siebie. Nie rób tego na raty. Natura nienawidzi fałszu!

Popatrzyła na niego skamieniała. Nie miał w oczach gniewu ani współczucia, za co by go znenawidziła. Tylko spokój. Cholerny, wyważony spokój!

- Skąd się taki wzięłeś? - spytała po chwili. - Zaprogramowano cię?

- Zrobiłem to sam.

Przyciągnął ją ku sobie. Objął ciasno ramionami. Po czym odsunął się i wyszedł w deszcz.

Prawie noc

Wanda zeszła po cichu na dół. Schody nie skrzypiały.

Na podeście zamarła. W niszy zwanej konfesjonalem znowu ktoś był. Ktoś nierozpoznawalny, stojący w głębokim cieniu, szeptał. Tembr głosu poruszył ją. Była w nim zgroza.

Położyła się na płask. Słowa stały się rozpoznawalne.

- Marian się powiesił. Rano znaleźli go na drzwiach.

- Dlaczego? Dlaczego? - wykrzyknął szeptem falsecik Lucjana.

- Odebrali mu film - wyjaśnił wstrząśnięty tembr. - Nakręcił średni metraż. O swoim miasteczku. Zagubionym w lasach. Takim jedynym dla niego. Nakręcił w nowy sposób. Nie sucho. Z poezją ukrytą w rzeczach, poezją, która nie przekłamuje. Niczego nie upiększał. Ale piękno biło z filmu.

Dawno nie było takiego dokumentu. Nigdy nie było. I nie będzie. Nowa forma, nowa treść, Chryste! Zabrali mu to.

- Przecież była umowa. Są prawa autorskie! - wykrzyknął falsecik.

- Głupcze, prawa są dla uprawnionych! Zmienili nazwę miasteczka. Imiona osób. Kilka dialogów. Dokręcili jakieś scenki i już nie było jego. Usłyszał, że film się nie nadaje. Że ludzie mówią w nim swoim tekstem. A jakim mają mówić?! -krzyczał Marian. - Dokument nie dyktuje dialogów, jest dokumentem. Nie zrozumieli. Jurorzy nie muszą rozumieć. Oni mają tylko oceniać. Ogłaszać wyrok według rozkazu.

- Nie pojmuję. Nie pojmuję. - Lucjan omal płakał.

- Jak on o to walczył, Lucek. Miał pełną świadomość, że wprowadził nową formę, że jego dokument nie tylko pokazuje, nie tylko mówi, ale żyje własnym życiem. Ma duszę. Krajobraz to nie tylko gra barw i cieni. Jest w nim jeszcze coś, niby nieuchwytnego, ale co zniewala oczy. Każe patrzeć i patrzeć. I słuchać dziwnej mowy. Tylko w takim obrazie jest siła i prawda.

Głos zamilkł. Trwała cisza. Martwa.

- Runęła budowla, którą zaprojektował. Którą żył. Nie chciał bez niej istnieć. Powiesił się.

- Kto to zrobił, cholera jasna, no kto? - dopytywał falset Lucjana.

- Przecież nie my, małe szcurki - odrzekł tembr. - Jak zawsze. Jakaś szycha dla swego pupilka. W telewizji nie ma ludzi. Są nazwiska i twarze na ekranie. Pochowali się więc za swoje telewizyjne parawany i stamtąd przesyłają nam, robaczkom, swoje telewizyjne zakłamane prawdy.

- Wykrzyczysz to? - spytał falset.

- Już się stało. Byłbym drugim z kolei, który się powiesi. Właśnie kończę o Bieszczadach, udane, myślę. Tak bardzo udane, że aż się prosi o kradzież.

Głosy ucichły. Trzasnęły drzwi.

Wanda nie ruszyła się. Czowała się jak wtedy, gdy woda zatykała oddech. Żyła w opętanym świecie. Sama była opętana. Jak Korneliusz, jak Marian. Lecz ich opętanie było piękne. Byli jak tamten stary kolorowy Ptak, który stoczył się ze szlabanu prosto pod pospieszny kolos. Kolos nie mógł się zatrzymać. Dróżnik też nie. Ani Marian.

Korneliusz zaś odejdzie w cień, jeśli tamci dwoje, ten z Wytwórnią i ten z żądzą kręcenia, zmienią zdanie. Czy zawsze, gdy się w kimś rozrasta coś pięknego, coś wielkiego, to ich wchłonie? Zabije? Trzeba im to zabrać?!

Myśli nagle zamarły. Obsesja wróciła.

Co pochłonęło tak naprawdę piękną młodą kobietę? Tylko to, że nie umiała przebaczać?

Wróciła na górę. Na strych. Ułożyła się na chropowatych deskach i zapatrzyła w sufit. Nie widząc go.

Raptem zerwała się. Pobiegnęła w noc.

Wanda biegła plażą. Byle dokąd, byle daleko. Trzęsło nią zimno.

Morze wyszalało się. Na moment. W niespodziewanej chwili znowu znikąd przyleci wiatr i zbełta wszystko.

Na razie fale podbiegały do brzegu spokojnie. Cofały się cicho, ledwo oblewając falochron.

Usiadła na nim. Na najdalej wysuniętym przyczółku. Ciemna noc, ciemna głębia pod nogami, a przed oczyma niewidoczny horyzont. Czowała się jak w pułapce. Śmieć czaiła się wokół. Nie czuła gniewu. Była obok siebie.

Dosłyszała zbliżające się głosy. Czyjś podniecony. Wściekły. Poznała tembr. Teraz zachrypnięty, zapewne po kilku piwach. I drugi, o coś proszący. Płaczliwy. Prawdziwie przerażony. Nigdy się temu głosowi nie przytrafiał strach. Nigdy.

Wanda przesunęła się po palach bliżej plaży. Przybliżali się. Wysoki masywny cień. I mniejszy, łkający.

Dostrzegła ruchy rąk. Wysoki cień popychał ten niższy. W pewnej chwili popchnął gwałtownie, mniejszy cień upadł. Masywny się nad nim pochylił.

- Łziesz! To nie moje. Znam cię, dziwko!

Wanda jednym sprintem osiągnęła brzeg. Deska wyrzucona przez fale sama wpłynęła jej do rąk. Bez namysłu, z całej siły trzasnęła w głowę pochyloną nad płaczącym cieniem.

Zwalił się. Usiadła mu na plecach i jak oszalała waliła deską, nie zawsze trafiając. Ujęła głowę za uszy, podciągnęła ku nadbiegającym falom, wcisnęła twarz mężczyzny w wodę.

Szarpał się. Nie miał szans. Za dużo piw w nim bulgotało. Krztusił się coraz słabiej. Niech zdechnie!

Raptem czyjaś dłoń poderwała Wandę. Przesunęła na piasek. Ta sama dłoń wyszarpnęła deskę z rąk. Złapała nogi Kinga i wywlokła na plażę. Ciemność kryła twarz nieznanego. Milczał. Woda bluzgała z ust podtopionego.

Ledwo widoczny cień Agnieszki pólleżał na piasku. Łkała.

- Wracajcie! - nakazał nieznanomy. - Zajmę się nim.

Wanda jak manekin zagarnęła Agnieszkę. Ruszyły w stronę wydm. Nogi Agnieszki zaplątywały się jedna o drugą. Wanda omal ją niosła.

- Jak ci na imię?! - usłyszała.

- Wanda - odchrząknęła półprzytomnie.

- Zapamiętam!

Wracały obie jak pijane. Agnieszka wciąż łkała.

W drzwiach stała Melania. Odrzuciła papierosa. Podbiegła. Bez słowa podprowadziła Agnieszkę do łóżka. Rozebrała błyskawicznie z mokrych szmat. Przykryła kołdrą. Popatrzyła na siniaki. Komentarz zostawiła dla siebie.

Obejrzała się na Wandę.

- Domyślam się - powiedziała cicho.

- Zabiję go! - odrzekła Wanda.

- Za drugim razem może ci się udać - odrzekła Melania. - Ten nieznanomy, nad wyraz przytomny, może być wtedy w innym miejscu. Stałam niedaleko.

Umilkły.

- Z żadnym chłopakiem nie byłam blisko - wyszło chała Agnieszka. - Jakoś nie chcieliśmy.

- A King jakoś chciał - uzupełniła Melania.

Zapaliła papierosa. Podeszła do drzwi i przekręciła klucz. Popatrzyła na Wandę wciąż stojącą. Zabiję go, mówiły jej usta.

Melania usiadła na podłodze. Milczenie trwało.

- Z przypuszczalnym problemem, z następstwem, poradzimy sobie - odezwała się - ale nie znajdziemy sposobu na... Agusia jest krzyżówką...

- Zamknij się, Mela - powiedziała Wanda cicho. - Możesz stąd nie wyjść żywa.

- Byłoby to nie najgorsze wyjście - odrzekła Mela. Nagle wybuchła: - Do cholery, czy myślisz, że tylko ty dźwigasz kamień?!

Agnieszka spała. Noc nie miała zamiaru przeminąć. Po Melanii pozostał smród tanich papierosów. Dźwigała kamień? Jaki?

Wanda zamknęła za sobą drzwi pokoju.

W progu domu siedział Idol. Długie piszczele wyciągnął przed siebie. Sięgały omal pod kapiącą rynnę.

Przesunął się bez słowa. Wanda przysiadła się. Palił papierosa, też najtańszego. Zawsze miał pusty portfel ten syn zamożnych rolników, którzy, jeśli wierzyć słowom, utrzymywali ze swojej pracy cały polski kraj. Nie liczył się dla nich teatr, kino, mędracy, wszędzie, gdzie dobrze, zasiadający. Nie liczył się dzielny miejski robotniczy proletariat. Tylko oni. Skupieni nad ziemią. Każda idea pada martwa, powiedział

wczoraj syn tych pracowitych, jeżeli się jej nie dożywia konkretnym pokarmem. Słowa tłuką głupców. Miał rację.

A ona nie miała dokąd pójść.

Wyciągnęła rękę. Bez słowa włożył jej między palce papierosa. Pstryknął zapalniczkę. Mdły płomyczek oświetlił jej twarz. Zdradziła ją.

Milczeli. Nie zaciągała się. Nie nauczyła się dotąd. Czuła, że wąskie oczy szukają w jej twarzy przyczyny. Czego? Co już znał? Od kilku dni miała na twarzy wciąż to samo. Niechęć, pogardę, a często nienawiść.

- Idol, co robią ci twoi żywiciela wszechświata, jeśli dotknie ich gradobicie? - odezwała się.

- Czekają. Jak inni. Potem zaczynają od nowa.

- Może i w tym jest pewna mądrość, ale...

Przerwał jej. Kopnął nogą jakąś gazetę, pozostawioną na progu.

- Przeczytaj to przy okazji. W niej jest jądro głupoty obowiązujące w naszym kraju. Wstydzimy się swoich korzeni! Najgłupszy Amerykanin chwali się, że zaczął od niczego. Taki jest zdolny. A my, w naszym pięknym kraju, pięknym nie tylko krajobrazowo, pozujemy na gwiazdy. Każdy w swoim zawodzie. Niejaki celebryta - co to jest? - wyznał w tym piśmidle, że nie wstydzi się, iż urodził się na wsi. Ma urodę, jak to się określa, plebejską, wzrost niewielki, średni talent, zagrał kilka róleń i już jest tak wielki, że może wyznać, iż jest synem chłopca. Nie zaszkodzi mu to w karierze. Jezu, panienki fikające nóżkami, pochrypujące przy mikrofonie, też się już nie wstydzą. To jest temat dla naszej Melanii.

Już go poruszała. Mnie już nie śmieszy ten idiotyzm. Ta wielka pozycja celebrytów, chociaż tak do końca nie wiem, co to jest. Głupota nie zawsze śmieszy. Często przeraża. Bo jeszcze głupsi w każdy idiotyzm uwierzą. Zamilkł. Wstał. Usiadł na powrót.

- Coś cię wzięło, Idol? Bywasz żywy?

- Nie ślepnę. W tym różnica.

- O mnie mówisz? Oślepiłam?!

- Gorzej. Widzisz potrójnie. Kto ci tak naprawdę dokopał, Wanda?

Wstała. Zostawiła go na progu, z nocą przed oczyma, z nogami w wodzie, ze śmierdzącym papierosem w ustach. Wygłosił przemówienie. Pierwszy raz. Lecz nie zmienił lembu, wyrazu twarzy, oczu. Pozostały nietknięte, jak ta jego święta rodzinna ziemia.

Dotarła na strych. Oparła czoło o szorstką ścianę. Jeszcze chwila, a ściana będzie winna, że ją wybudowano, że przed Wandą wyrosła, że nie da się jej ominąć. Gdy nie ma winnego, trzeba go wymyślić, rzekła Melania. Wymyśli więc. Choćby miała zginąć.

Dzień drugi

Była szósta. Podziurawiona wczorajszym deszczem plaża czekała na nią. Może z długodystansowcem w odległym tle? Był z tych, co nie chcą zdobywać. Przed takimi też wyrasta ściana. Nie tylko przed Marianami.

Podeszła do lustra. Ta sama niesympatyczna twarz. Ten sam upór, aby sforsować ścianę. Cokolwiek za nią ukryto.

Nie jest tak, cholerny panie Darwin, jak pan to uczenie wyłożył. Pozwolił pan zejść małpom z drzewa, zajął się gorliwie ich ciałem, resztę pozostawiając bez zmian. Tymczasem hormony uległy psychozie. Instynkt przetrwania uległ mutacji, przynajmniej u mnie. Przetestowałam to wczoraj. Dał się łatwo unicestwić. Lecz topiel mnie nie zechciała. Fale mnie wypluwały. Obijały o pale, a on, ten cudowny instynkt, wciąż tylko dociekał, jak długo wytrzymam. Pokonał mnie. Ktoś mu dopomógł. Dowiedziałam się jednak najważniejszego: instynktowi może się pewnego dnia odechcieć. Ma prawo. Prymitywnie ujęte? Może. Ale prawdziwie. Z całą pewnością nie jestem jedyną zmutowaną małpą, która to sprawdziła.

Dostrzegła nieprzyjemny grymas ust. Takich ust się nie całuje. Takiej twarzy nie przygląda. Co więc nakazuje Idolowi wpatrywać się w nią tymi jego nie najpiękniejszymi oczyma? Co zatrzymuje jedną uczłowieczoną małpę przy drugiej, jeśli nie ma w tym żadnego interesu? Dlaczego jakiś człowiek trwa przy drugim, a inny porzuca?

Obejrzała się na Agnieszkę. Spała. Śliczna niewinna twarz, lekki uśmiech przebiegający uśpione usta, może zgaśnie, gdy ukażą się konsekwencje. Przeraziły King Konga. Agusia w swoim śnie pozostała nietknięta. I pozostanie. Wszystko jest do załatwienia, rzekła Melania, nie takie konsekwencje wymazywano. Owszem, nie takie. Historia jest jednym długim ciągiem wymazywania konsekwencji.

Otworzyła drzwi. Nasłuchiwała. Za wcześnie. Jeszcze nie czas na podzwanianie sztukami. Na odwieczną serdelową z równie odwieczną sałatą.

Strych milczał. Klucz leżał pod drzwiami. Długodystansowiec nie wrócił na noc.

Zaniepokoiła się.

Wyskoczyła oknem.

Kryształowo czyste powietrze mąciły pasemka mgły. Wypływały spoza lasu. Sunęły powoli, zamazując obraz.

Mewy nagle zamilkły. Nastąpiła cisza. Wanda poczuła, jak zadygotało w niej serce. Jak wszystko, zamiast się wyciszać łam w środku, podnosi niemy krzyk. Czyjaś różdżka odmieniała obraz. Mewy nadal milczały. Nie odezwał się żaden ptak. Wiatr umknął poza krawędź świata. Absolutny sztil! Sztil, który przeraża żeglarzy. Zatrzymuje ich w miejscu, nakazuje żaglom zwiędnąć, zrezygnować.

Znała taki sztil. Jego grozę. Czy pamięć nigdy nie zapomni?

Wtem skądś, z jakiejś niebieskiej szczeliny, wychynęło słońce. Wąskie świetliste pasemka pełzły powoli po morskiej topieli, zakrzyczał jakiś ptak, obraz stopniowo odzyskiwał kontury.

- Fascynujące! Obejrzała się. Mecenas.

Dostrzegł jej zastygnięcie. To zatrzymanie się ruchu powietrza. I spazm pamięci.

Patrzyli na siebie, milcząc. Jego oczy oddaliły się, zatrzymały przy jakimś wspomnieniu. Potem przeniosły się na jej, Wandy, twarz. Wciąż oddalone.

- Co dostrzegł pan we mnie? Tylko podobieństwo?

- To też - odrzekł spokojnie.

- Kochał pan Elżbietę. Słyszałam.

- Była intrygująca.

- Co to znaczyło dla pana?

- Wieloznaczność.

- Kpi pan?

- Jestem adwokatem, dziecko. Zaprzedałem duszę diabłu, tak się o nas mówi. Intryguje mnie nie tyle prawda, ile jej absurdalność. Słuchać czyjegoś głosu, najcichszych skrywanych szeptów, odczytywać, co niedopowiedziane...

- Czy przed wysokim sądem - przerwała mu - wsłuchiwał się pan tylko w to, co niedopowiedziane? Intrygowała pana tylko absurdalność zeznawanej prawdy? **WTEDY** także, panie Goebbels?

- Prawda to tylko domniemanie. - Wciąż był spokojny.

- Naocznie widziana też?!

- Naoczna jest interpretacją. Bywają sprawy, w których przyczyna jest istotniejsza od następstw.

Chciała coś rzec. Złapał ją za rękę. Powiedział cicho:

- Przyglądam się tobie. Nie dociekam. Nie szukaj kłębka rzeczy. Znalezienie go czy niemożność znalezienia to identyczne klęski.

Zawrócił w stronę wydym.

Patrzyła za nim. W swoich porciętach do kolan, w koszulce drażniąco schludnej, w czapeczce zasłaniającej pół twarzy wyglądał jak ktoś, kto właśnie zszedł ze sceny, a nie ze swojej adwokackiej kazalnicy.

Krzyknęła to za nim.

Odwrócił się.

- Chodzę w kostiumie - odrzekł. - Castingi w sądzie tego wymagają.

Zawrócił. Podszedł bliżej.

- A teksty, które się tam deklamuje, czego wymagają, panie Goebbels?

- Wiedzy, kogo się broni. Świadka czy sprawcę. Jest jeszcze trzeci powód obrony - ciągnął. - Trzecia możliwość.

- Jaka?!

- Sama dojdiesz - uciął. Oddalił się. Nawet się nie obejrzał.

Spoglądała za nim tak długo, aż zniknął za wydymą. Wtedy zza piaszczystego wzniesienia wychylił się cień. Wysoki. Wydłużony. Padające światło nie odjęło mu kościstej chudości. Znała tę chudość.

Cień zaczął powoli schodzić. Ostrożnie. Rozglądając się.

Korneliusz! Ta sama czerwona pilotka odwrócona daszkiem do tyłu.
Opadł na piasek.

- Hej! - zawołała.

Poderwał się. Kilka susów i już się gdzieś zapadł. Nie zostawił nawet cienia.

Posłyszała męskie głosy. Piotr i Karol.

A więc chudeusz zauważył ich wcześniej.

Usiadła na najbardziej wysuniętym przyczółku falochronu. Czekwała. Może nie zechcą jej zauważyć. Karol mówił cicho. W nocy, pod stodołą, wyglądał jak człowiek, którym coś wstrząsnęło. Zapamiętała go szczupłego i zawsze w biegu. Nie przytył i już nie musiał biegać. Zdobył to, co pozwoli mu zagrać rolę, o której marzył. Której by tutaj, w polskiej ojczyźnie, nigdy mu nie dano. Nikt za nim nie stał. Był nikim znikąd. Jak Piotr. Czy takie podobieństwo łączy na stałe?

Dostrzegli ją. Zatrzymali się. Wbrew sobie dochlupała do nich mokra do połowy ud.

- Kiedyś złapiesz zapalenie płuc - odezwał się Piotr.

- A twoje zapalenie już opanowałeś? - odrzuciła.

- W połowie - odrzekł.

- Wykiwałeś go, Karol? - spytała. Roześmiał się.

- Nigdy się nie zmienisz, Wanda. Nieustające pogotowie. Całodobowa dyżurna złośliwość. Miałem kiedyś trzymać cię do chrztu, ale zapomniano mnie bierzmować. Wielebny nie chciał się zgodzić. I dzięki Bogu. Nie dołożyłem się do twojej interesującej osobowości.

- Przestańcie - mruknął Piotr.

- Wszyscy czekają na werdykt, Karol. Melania ich rozpała. Potrafi to.

- Jak nikt - przyznał. Piotr ruszył bez słowa.

- Zaczekaj, Piotrek - zawołał Karol. - Po czyjej ty jesteś stronie, Wanda? - spytał cicho. - Nie mam pewności, czy po prawidłowej.

- Gdzie ona jest, Karol? Postąpił krok.

- Coś cię znosi, Wanda. Znam takie przypadki. Nie z kina. Chciała coś rzec. Ubiegł ją.

- Tak dla porządku, razem to zrobimy. Przekazałem to Korneliuszowi. Właśnie zadzwonił z Warszawy. Przed chwilą.

- Aha - mruknęła. - Z Warszawy. Przed chwilą.

- Zadał pytanie - rzekł, uśmiechając się. Czekala.

- Zapytał, czy wiem, dlaczego Andersen pisał baśnie. Nie wiedziałem. Wtedy wyszeptał jak tajemnicę: Andersen pisał baśnie, bo chciał mieć pewność, że istnieje zło, które kończy się szczęśliwie.

- Co odpowiedziałeś?

- Nie zdążyłem. Wyłączył komórkę. Piotr zawrócił. Podszedł milczący.

- Nie przeczytałem do końca. Nie znam Gumki dorosłej.

- Szkoda. Przeczytaj. Pojmiesz, że nigdy nią nie będziesz.

- Wczorajsza noc ci podpowiedziała? - spytała szeptem.

- Gumka jest odbiciem wewnętrznego świata. Nie tylko jej. To jest opowieść o człowieku, który staje się ćmą. Obojętnie, czy przywabia go światło, czy cień.

Oddalili się, lekko skinąwszy głowami. Szli obok siebie równi wzrostem i wiekiem. Spokojnie, lekko. Coś się jednak w nich zachowało z lat daremnego oczekiwania, którego nie chcieli uznać za daremne. Z całą pewnością wypalili się. Dawno zrozumieli, że tylko w baśniach zło kończy się dobrem. W życiu **DOBRO** kończy się zwykle złem.

Siedziała na palach, w swoim przyczółku. Gwarantował odosobnienie. Zatrącała wzrokiem o szczyt wydmy, za którą przepadł Korneliusz. Nie ufał. Bał się. Kto mu przekazał wiedzę o sposobach przemilczania, o tej najskuteczniejszej bezkrwawej broni stosowanej nagminnie w świecie, w który będzie musiał wejść. Tu czy tam, w Berlinie. W kraju, który jeszcze nie tak dawno wsławił się bezwzględny dotrzymywaniem umów ze śmiercią.

Z plaży doleciał głos. Zapamiętała tembr. Słowa liczyły się dla niej mniej. Melodia głosu czyniła tekst i to, co pomiędzy, czytelne.

Zbliżały się dwa cienie. Dwa czepek, zielony i niebieski. Szły wolno, nieco oddalone od siebie, spokojne w ruchach. Lecz tembr wyjaśniał, że tam się o coś prosi. Nalega. Że na czymś zależy.

Czepek Teresy milczał. Nauczyła się tego przez czternaście lat w domu z przemilczaną przeszłością.

Zatrzymali się. Może dostrzegli ją, siedzącą na palach. A może tembr zrozumiał bezskuteczność nalegania.

Milczeli. Była to cisza, w której się coś zdecydowało. Bez słów.

Czepek poruszyły się. Wiatr przyniósł ciche pytanie, to może później, kiedyś, kiedykolwiek...

Rozeszli się, każde w swoją stronę.

Lojalność ją powstrzymała? Nie dręczyło jej, że weszła w dom, w którym każdy stał tylko po swojej stronie. Też wolała długie dystanse, jak jej trzynastoletni syn. Może uda się im przetrwać. Brak chciwości w zdobyciu czegoś nie zawsze zostaje ukarany. Może tych dwoje będzie tym wyjątkowym przypadkiem.

Nie ruszała się ze swego przyczółka. Wielka szara balia kołysała się spokojnie. Bałwany zrezygnowały z ataku na pale. Trwała cisza wczesnego poranka. Już nie martwa.

Wtem dostrzegła Damiana. Wybiegł zza łuku plaży. Nie wymierzał kroków. Nie kontrolował czasu. To był mechaniczny bieg chłopca, który zapomniał, że biegnie.

Zerwała się. Dołączyła bez słowa. Biegli teraz obok siebie, milcząc. Oddalali się coraz bardziej od domków, chałupek, okopów, które niebawem zostaną zajęte.

Objęła Damiana przez plecy. Zesztywniał. Nie odtrącił jej. Zwolnili, szli teraz, dostosowując kroki. Nadal trwała cisza. Ta pozorna. Coś się znowu wydarzyło.

Damian zatrzymał się nagle.

- Daj słowo!

Patrzył na nią. Z gniewem? Nienawiścią? Rozpaczą? Nie rozumiała.

- Dałem ci słowo o stodole, że tam nie pójde. Dotrzymuję. Teraz ty daj mi swoje. Przysięgnij!

Powstrzymywał łyzy. Przywoływał furję. Nie umiał czegoś udźwignąć. Czekala.

- Wiktor dzwonił wieczorem. Nazwał mnie szczurem. Synem złodzieja. Krzyczał, że go zdradziłem. Że mój ojciec,

zabrał Marianowi film. Krzyczał, że opowiadał mi o tym filmie. Że jest piękny. Że nie ma takiego drugiego. I nie będzie. Zaufał mi, a ja go zdradziłem. Mój ojciec zabrał go, bo sam nie ma niczego. Ukradł. Dlatego Marian się zabił.

- Ojciec nie ukradł - powiedziała cicho.

- Nie broń go!

- Marian miał gotowy film. Ojciec ma tylko scenariusz.

- Którego nikt nie chce. Nadal nie będzie kręcił. Dlatego ukradł gotowe. Nie broń go!

Oswobodziła ręce z jego uścisku.

- Patrz mi w oczy. Nie bronię go. Myśl logicznie. Odróżniasz dokument od fabularnego. Nasłuchałeś się od lat o różnicy.

- Przysięgnij! - krzyknął. - Przysięgnij! Nie broń go!

- Nie bronię. Nigdy nie weźmie cudzego. Nigdy. Nie wiem, czy jest uczciwy. Wiem, że jest pełen pychy. Pycha zabroni mu kraść. On ceni tylko własne słowa. Własne pomysły. Własne wizje. Nie nakręci filmu nawet na podstawie książek Prusa czy Sienkiewicza. Znasz ich. Aż się proszą o sfilmowanie. Lecz twój ojciec jest taki jak Marian. Chce patrzeć swoimi oczyma, rozumiesz to?! Wyśmiewali go latami, pamiętasz? Nie oddawał ciosu. Człowiek, który nie oddaje ciosu, bo nie walczy z nikczemnikami, nie jest szcurem! Nie jest złodziejem. Bierz komórkę, przysięgnij Wiktorowi. Mój ojciec nie kradnie, powiedz. Złóż przysięgę!

Milczał. Wisiał na niej oczyma.

- Posłuchaj - odezwała się cicho. - Żył przed laty taki jeden człowiek. Herodot. Stary mądry Grek. Jego świat o dwa tysiące lat odległy od naszego też był pełen ludzi, chcących

za wszelką cenę zagarnąć wszystko dla siebie. Patrzył na to ze spokojem. Ze świadomością, że patrzy na kukły kierowane czymś podłym od środka. Czymś nikczemnym, nad czym nie mają władzy. Słabi, mali ludzie. Chodził wśród nich jak Marian. Dotykał wszystkiego. Zapisywał. Nie wiedział, że kiedyś nazwie się to dokumentem. Twój ojciec też wierzy tylko temu, co sam dotknie. Jak Marian. Jak tamten Herodot. Próbuje wydobyć i pokazać, co ukryte w człowieku. Jest pełen pychy. Gardzi nikczemnością. Nigdy nie ukradnie cudzego. Przysięgam.

Damian wciągał powoli powietrze. Wypełniał płuca, które rozpacz pozbawiła oddechu. Wysysał z krystalicznego powietrza tlen, jak się wysysa prawdę z pomówienia. Miał kredowo bladą twarz, pochylone ramiona, jakby zbyt wiele na nich dźwigał. Trzynastoletni chłopiec postarzał się w jedną dobę o wiele lat.

- Myślę - odezwał się cicho - że tylko Marian wie, kto go zabił. Ale już nie powie.

Objęła go przez plecy. Nie odtrącił jej.

Wciąż był ten sam ranek. Trwał zbyt długo.

Odbiegli od siebie bez słowa. Każde w swoją stronę. Może dostrzegł niezdojany horyzont i podąży do niego. Pamięć trzynastoletniego jest chłonna, ale nietrwała. Trzynastoletnia

można ukierunkować plotkami, i pomówieniami też. Lecz było coś w tym chłopcu Teresy, co pozwalało ufać, że nie upodobni się do bezmyślnego stada, choćby miał przegrać, stracić najwięcej, nie straci bowiem najważniejszego. Siebie.

Siedziała w czyimś graj dole, z którego ją niebawem przepędzą. W piasku walały się łopatki, wiaderka. I śmieci. Szczury miejskie. Inna profesja, te same mózgi, małe, ciasne, zaborcze, kraść, co się da, śmieci zostawiając innym. Drabinka społeczna, coraz dłuższa, szczebelki pełne statusów. Jeszcze nie tak dawno świat dzielił się na ludzi pracy i na pasożytów; ci od sztuki, okresami ważnej, tkwili w swojej iluzji, śmiesznej jak określenia ich przynależności społecznej. Inteligencja? Pracująca? Owszem, od czasu do czasu. Myśląca? Niewykluczone, że dalej niż jakakolwiek myśl sięga. Ekran ją wychował. Ekran kazał wielbić wymyślone postacie; były zaprzeczeniem tego, na co patrzyła. Ekran i jego ludzie byli stale obecni w jej domu. Lecz nie uśpili w niej świadomości, że to, co nas porusza, najczęściej pozostaje chwilą, mgnieniem, błyskiem, który gaśnie, i znowu stajemy się szczurami. Dobrze i to, powiedziała zrównowazona Teresa, dobrze, że chociaż na mgnienie człowiek chce być człowiekiem.

Wstała. Z wydmy, z niedozwolonego miejsca, zbiegał mały pochód szczurków. Piłka potoczyła się do niej. Wykopała ją najdalej w morze.

Pobiegła ku swojej ścieżce. Ku azyłowi.

Był zajęty!

Nim rozpoznała intruza, już wiedziała kto. Idol podnosił się powoli z piasku. Jego wąska twarz nie wyrażała zakłopotania.

- Zjeżdżaj! To mój dołek! - nakazała szorstko. -1 co z tego? - odrzekł spokojnie.

Zwrócił ku niej swoje szpareczki oczu. W cienkich ustach chwiał się papieros, omal przypalając długi nos.

- Składasz się z samych kreseczek, Idol - odezwała się. -Wyglądasz jak znak umowny. Czy w twojej prowincjonalnej telewizji jest jakaś baba, której się to podoba?

- Znalazłaby się - odmruknął.

Wspięła się na konar przewieszony nad wnęką. Kołysała nogami, osypując piasek na jego plecy. Nie reagował. Palił spokojnie.

Zeskoczyła. Przysiadła bokiem. Wyciągnęła rękę, bez słowa. A on bez słowa wetknął jej zapalonego papierosa między palce.

Milczeli.

Tkwiał za jej plecami irytująco spokojny. Zapatrzony w osypującą się skarpe. Obmyślający reportaż, z którym musi powrócić. Po to go wysłali. Nie po tlen. Takim jak on się nie należał. Łaził tygodniami po polach, rejestrował zastaną rzeczywistość, którą potem, zgodnie z odgórnym nakazem, przerobi na medalowe osiągnięcia polskiego rolnictwa. W tym kraju omal wszystko przewróciło się do góry nogami, lecz dwie rzeczy zostały nienaruszone: kłamstwa o osiągnięciach i wybielanie życiorysów.

- Czy raporty składane przed Unią Europejską są prawdziwsze od tych składanych przed Komitetem Centralnym? -spytała złośliwie.

- Idea wszelkich raportów pozostaje niezmienna. Lekko napomknięta prawda, a nad nią nadbudowa. Dokładniej -

tekst pokrzepiający naród albo odwrotnie. Mający wywołać zgrozę, jeśli akurat jest potrzebna. Teraz czerpiemy wzory z USA. Jak przedtem z kraju Lenina.

- Uwielbiam Amerykę - powiedziała. - Ich boskie wyczucie, czego naród akurat pragnie. Zagrożenia czy sukcesu.

- Sąsiad ze wschodu jest w tym dużo lepszy. Urzeczywistnia nieistniejące. Nie uprzedza. Bierze.

- Proszę, proszę, zacząłeś myśleć. To się reporterom przydarza?

- Jestem synem chłopa w czterdziestym pokoleniu. Mam w genach trzeźwość. Pole, czyli egzystencja, jest najważniejsze. Potem dopiero sposób uprawy. Mówiłem już. A zbiory są naturalnym następstwem nieprzewidywalnej natury.

- Ja jestem tworem swoich rodziców. Nieobliczalnych.

- Co cię zjada, Wanda? Tak naprawdę. Trochę cię znam. Nie ciało, z nim sobie radzisz. Ani dusza, boś ją odrzuciła za radą pana Darwina. Co cię przerosło?

- Spadaj, Idol! Zabierz ze sobą cały swój cholerny rozsądek przekazany w genach. Taki jak ty nigdy się sam nie udaremni. Ty nie zniszczysz siebie!

- Nikt siebie nie zniszczy sam. Chyba że jest odchylony. Lecz i wtedy ktoś musi mu pomóc. Popchnąć. Mechanizm, który się zatnie, można uruchomić w dowolną stronę.

- Coś powiedział?! - krzyknęła cicho.

Zerwała się. Wymknęła się z dołka. Biegła plażą tak długo, aż straciła oddech.

Nikt nie unicestwia się sam.

Marianowi pomogli ci z parnasu filmowego. Piotrowi pomoże paragraf plus. Kto pomógł tamtej **NIEOBECNEJ O** ledwo

zapamiętanej twarzy. Twarzy, którą mogła obejrzeć co dnia w lustrze. Jeśli prawdę mówiły czyjeś słowa? Kto jej pomógł? Jaskółka sprzed lat, płynąca jak obłok? Kim naprawdę była Elżbieta przywrócona pamięci przez Irenę Krajnik, urodzoną w staropanieństwie, nieumiejącą opanować głosu? Kim była? Kimś wieloznacznym? Kto to jest? Co to jest?

Biegła brzegiem tak długo, aż się zupełnie wyciszyła. Ułożyła się twarzą ku niebu, znowu kłamiącemu błękitem.

Zamknęła oczy. Gdzie jest czas, w którym wszystko miało swoje uzasadnione miejsce? I porę. Linia między prawdą a przemilczeniem była wyraźna. Biegła wężykowato, jak zawsze biegną wszelkie wytyczone granice, tu i ówdzie naruszane. Sama narusza w tej chwili tę zasadniczą. Znalezienie odpowiedzi lub absolutna niemożność to równorzędne klęski, powiedział pan Goebbels. Wiedział, co mówi. W tym swoim teatrze sprawiedliwości grał perfekcyjnie rolę szukającego prawdy, z niezłomnym postanowieniem niezalezienia jej. Jest tylko domniemaniem, powiedział. Może. Nieważne. Dotrze do tej domniemanej prawdy.

Od strony wsi nadleciały zmieszane głosy. To ci z państwowych kwater. Nie czołówka plutonu, ta już siedziała w swoim grajdole. To cały pluton w komplecie. Zbiegali po swoje porcje tlenu i jodu. Wrzeszczeli, bo wrzask dowodzi siły i radości. Śmiali się, bo w śmiechu zawarta jest ulga. Płakali, bo łzy są przejawem smutku. Zachowali swoje znaki umowne jak obowiązujący szyfr. I stosowali go jako namiastkę uczuć, jak ci z góralskich domków. Lecz byli uczciwsi. Nie była to świadoma gra. Nafaszerowano ich schematami nawet nie z ekranu, przyroda im

przekazała całe to małpowanie, to pan jest winien, panie Darwin.
Ironia nie pomogła. Wciąż leżała obok siebie. Błękit nieba nadal kłamał. Nadal obezwładniało ją uczucie pogardy, może nienawiści, szukające obiektu.

Było ich wiele. Ten, który zabił. Ten, który zabije. Lucek, jeszcze niedawno wstrząśnięty grozą, w tej chwili zapewne spokojny, solidarny ze sobą. I te natchnione, nigdy nieopuszczające jej sceny. No i ta, która wszystko, co ją różniło od mężczyzn, nosiła na wierzchu. Nazywała to kobiecością. Nie dostrzegала, że przerośniętą.

Nie ruszała się. Zniosła obsypanie piaskiem przez zbiegających. Ich krzyk wyciszał ten krzyk, który tkwił w niej.

Leżała nieruchomo. Czas przepływał niezauważalnie.

Jakiś cień pochylił się nad nią.

- Źle się czujesz?

Usiadła. Piotr się wyprostował. Karol sprawdzał niebo. Coś mu nakazało oddalić się stąd. Uciec oczyma.

- Siadaj, tato - powiedziała cicho. - Ufasz mu? Znam twój świat, przyjaźnie nie istnieją. Antczak miał ich wiele. Dopóki za wysoko nie podniósł głowy. Przycięto mu. Przyjaciele. Nie jakiś Wilhelmi, minister. Co znaczy reżyser dla ministra? Jest rywalem? Ty nim jesteś. Przemilczą cię, zrobisz wspaniały film i to cię przekreśli.

- Sugerujesz, że mam zrezygnować? Że to zdrowsze dla mnie?

- Ktoś napisał, że z przemilczanego dotąd tłumu wielkich talentów wyłoniło się stado młodych wilków. Niebezpiecznie sprytnych. Tak sprytnych, że zrozumieli, iż na szczycie hie-

rarchii trzeba zostawić kilka uznanych, choć przebrzmiałych kapłanów, nie zachwiewa się bowiem wiarygodnością ocen.

- Co z tobą, Wanda?

- Słyszałam już to pytanie!

W ciemnych, zawsze nieczytelnych oczach ojca ujrzała coś, czego nigdy dotąd nie było. Troskę? Lęk? Dotknął jej ręki. Lekko ścisnął.

- Rozdając ciosy, trzeba pamiętać, że wracają. Dużo silniejsze.

- Powiedz wprost - odrzekła cicho. - Jestem wariatką!

- Nie jesteś. W tym całe niebezpieczeństwo.

Wstał. Odchodził powoli. Był z tych, którzy nie oddają ciosów, sama to powiedziała. Nie oddają nikczemnym. Czyżby ona nią była?!

Okna były szeroko otwarte. Ktoś był w pokoju. Wanda zawahała się.

Wtem z otwartego wnętrza runęła na nią lawina dźwięków. *Rewolucyjna* Chopina wybiegała spod palców Melanii, rewolucyjniej od oryginału. Rozklekotany instrument, od wieków niestrojony, nie zdołał zniekształcić muzyki.

Wanda przysiadła pod parapetem. Czy myślisz, że tylko ty dźwigasz kamień, krzyknęła wczoraj Kartoteka. Miała go w sobie. To nie rozprawy, które czekały na nią w sądach.

Zniesławiała precyzyjnie. Sądy były dla niej jeszcze jedną sceną popisów. Miała coś za sobą, co dźwigała. Co kazało jej szukać obiektu, ofiary. Tak było. Chyba. Sama poznała ten mechanizm.

Rewolucyjna ucichła w połowie tonu.

Twarz Melanii zawisała nad Wandą. Za moment przykrótka figurka zsunęła się z parapetu na głowę Wandy. Wyszarpnęła ją, pociągnęła za sobą.

- Spadamy, Wanda!

Pobiegły. Zatrzymały się w wąłym brzoźowym gaiku. Przez listowie przeświecał dach stodoły. Melania zapaliła papierosa.

- Siedź - mruknęła.

- Siedzę.

Zapadło milczenie. Papieros sam się dopalał.

- Gdy miałam dziesięć lat, spotkała mnie pierwsza klęska. Jury dostrzegło, że mam za krótkie nóżki do baletu. Spróbowałam przeżyć. Znęcałam się nad Chopinem ze trzy lata, aż pojęłam, że i ten talent jest przeciętny.

Wanda poruszyła się.

- Siedź, cholera. To nie spowiedź. Muszę tylko wywalić z siebie.

Zapaliła następnego papierosa. I zaraz o nim zapomniała.

Z nieodległej ścieżki docierały głosy chłopców maszerujących na wycieczkę. Mewy wydzierały się za wydumą, zza widnokregu przeciskał się nikomu niepodległy wiatr, zatrzęsało liśćmi.

- Poszłam więc na prawo. Okazało się nudne. Skończyłam trzy czwarte, poszłam w lewo. Przekomarzam się

z kodeksami, mała satysfakcja, ale zawsze coś. Taką mnie znasz.

- W ogóle cię nie znam, Mela. Nie dosłyszała.

- Kochałam Mariana - powiedziała cicho. - Jak się kocha kogoś niezwykłego. Prawdziwego na tym przestrojonym świecie.

Zwróciła się cała do Wandy. Niepiękne oczy stały się nagle piękne. Lśniły. Nie łzami. I nie wściekłością. Coś innego było w nich. Co przyszło z głębi. Co czyni człowieka miękkiem i równocześnie zdolnym do wszystkiego.

- Zabiję świnie - rzekła cicho. - Zabiję słowem. Opanowałam to do perfekcji. Słowo jest najbardziej mordercze, zaraz po przemilczeniu. Nie zabił go mały pacholek telewizyjny. Zrobił to decydet. Osobiście. Bo Marian go kiedyś opisał zbyt osobiście. Nie wiedział, że kogokolwiek opisuje z tego grona decydentów, dotknął ich wszystkich. Są powiązani. Nawet gdy osobiście się nie znają. Jesteś młodsza o pokolenie. Masz nikłą szansę, że cały ten folwark zwierzęcy zdechnie co do jednego, zabity dzumą, która jest w nich. Wykrzyczałabym to już dziś. Lecz kryminał wymaga powściągliwości. Nie odkrywa się przedwcześnie kart, choćby jednej. Mam kilka. Teutończyk, nie wiedząc, co mówi, powiedział wiele.

- Pilnuj się, Mela - odezwała się Wanda cicho. - Też nie jestem tą sprzed kilku dni. Też szukam kogoś, kto się dołożył.

Zamilkła. Mela czekała.

- Do czego? - spytała cicho. - Nie poddawaj się urojeniom, Wanda. Śmierć Mariana jest faktem.

- TAMTA śmierć również - odrzekła Wanda.

Melania obróciła Wandę twarzą ku sobie. Nie spytała o nic.

- Wiem, co się czuje przed śmiercią - podjęła Wanda cicho. - Sprawdziłam. Najpierw brakuje oddechu. Potem serce chce wyskoczyć. Decyduje ostatnia sekunda. Ostatnia myśl, od czego się odchodzi. Od kogo. Bo nie od siebie. Ten, kto ginie, nie jest już żywym sobą.

Zapadła cisza.

Trzeci papieros dopalał się sam.

- Wyrastałaś obok świata zaczadzonych sobą - odezwała się Melania.
- Patrzyłaś na ciała pięknie wymodelowane silikonem. Słuchałaś głosów prawdziwie pięknych i niekiedy mówiących prawdę. W świecie pozorów naturalność zanika na zawsze. Nie z winy człowieka. On jest ofiarą. Patrzyłam w oczy Piotra wtedy, gdy nigdy niewidziana jaskółka wpłynęła nagle do pokoju Ireny. Zjawiskowa. Była burza. Wpędziła nas tam wszystkich, znanych i nieznanym. I nagle ta przepływająca zjawiskowa dziewczyna połączyła nas. Oczy Piotra ją pożerały. Nie cieleśnie. Zapamiętałam każdy jej ruch. Ja, niedoszła baletniczka z za krótkimi nóżkami. Każdy jej gest nie był gestem, czymś materialnym. Był jak obietnica, nie wiem czego. Stałam tam i przeżywałam swoją klęskę sprzed lat. Zdawało się zapomnianą. Jezu, jak ona płynęła. Wiesz, co to znaczy przeżyć po raz drugi swoją największą klęskę? Każdy jej ruch był niesłyszalnym trzepotem skrzydeł. Nienawidziłam jej. Ubóstwiałam. To było więcej niż szaleństwo. Ona jest wciąż żywa we mnie - umilkła. -Lecz i tej boskiej nie podarowano. Sięgnęła zbyt wysoko. Skończyła się.

- Umarła? - spytała Wanda cicho.

- Gorzej. Złamała nogę. Z endoprotezą nigdy już nie zatańczy. Miała być główną postacią w filmie Piotra. Nareszcie podnieśli szlaban.

- Zrobił go?

- Nie.

- Zabrali mu?

- Sam sobie zabrał. Dostał amoku. Wciskali mu inną. Ale on się zaparł. Zapomniał, że ci schowani za zasłoną wyższych racji, mają zawsze rację. Swoją. Opłacalną. Mieli jakąś krowę, którą polecono im wylansować.

- Gdzie ona jest?

- Kto? Maślińska? Jej mąż gdzieś profesorzy. A ona stała się choreografem. To nie było sprawiedliwe. Ludzie nie mają głowy, żyją żądzą. Jej przeszkodziła zwykła nóżka.

Zamilkła. Wiatr się rozszalał. Gdzieś wydzierały się dzieci, ktoś się pod stodołą komuś spowiadał łamiącym głosem nastolatka. Czas płynął. One wciąż milczały. Coś odżyło. Klęska Melanii. Coś się pokojarzyło.

-Melania...

Mela zwróciła ku niej głowę. Była w innym miejscu. Oczy płonęły nienawiścią.

- Zabiję świnie - powiedziała cicho. - Choćbym sama miała zginąć.

Umilkła. Wiatr przeganiał chmury, dwoje zakochanych przeszło obok, nie dostrzegając nikogo. Melania siedziała skurczona, zapatrzona w nicość.

- Miał 18 lat, gdy go poznałam. Wybierał się do Łodzi. Chciał pojechać z czymś. Zapobiec odrzuceniu. Dałam mu kamerę. Na tydzień zachorowałam. Dla szefów.

Umilkła. Tamten obraz pozostał w niej. Osiemnastolatek gotowy na wszystko. Już zaprzędany obrazom, które miał tworzyć. Szalony.

- Wrócił po tygodniu - odezwała się Mela. - Nieufny. Wreszcie rzekł: rzuć na to okiem, trochę się znasz. Puścił film. Ciemna rzeka, pociemniała przedwieczornym światłem, płynęła leniwie. Smuga dogasającego słońca osiadła na czarnej tafli. Brzegi zmieniły barwę. Rybak zamarł nad spławikiem. Nagle z promiennej smugi wyskoczyła postać. Dziewczyna. Pływaczka. Obrysowana światłem. Połyskująca mokrym ciałem. Zjawiskowa. Afrodyta, powiedziałam cicho. Nie, zaprzeczył. Jest tylko częścią. Uzupełnia piękno. Sama nie byłaby nim, gdyby nie brzeg, mieniąca się woda, światło. Znakomite, Marian, powiedziałam. Milczące, poprawił. Przykuwa. Przypomina o zmierzchu, który zapada. Który nikogo nie ominie. Zrozumiałam, Wanda. Zaprzędał się całkowicie. Nie miał wyjścia. Musiał się zabić. Dla niego zapadł zmierzch. Na zawsze.

- Mela, też się zaprzędałaś. Ale nie giniesz.

- Zaprzędałam się podłości. Wyławiam z mętnej wody jeszcze podlejszych. Tego drania też wyłowię.

- Melania, Elżbieta była z tych, co się czemuś zaprzęдали? Melania nie podniosła głowy. Wpatrywała się w kamień.

Jeszcze była gdzie indziej. Przy Marianie. Pokójarzyła.

- Była z tych, przed którymi drzwi same się otwierają. Lecz zapomniała, że wyjście jest trudniejsze. Niekiedy przegapia się porę.

- Nie rozumiem.

- Odczep się, Wanda. Też wchodzisz, jakby ci się wszystko należało. Będiesz umiała wyjść w porę z błota, w którym grzebiesz?

Wstała. Zatrzeszczały gałązki. Zniknęła za wątlými krzewami.

Popołudnie

Wanda zatrzymała się w progu pokoju.

Dzień jak co dzień, lecz nie wiadomo, co z nim zrobić. Nie znała takich stanów. Plaża zbyt piaszczysta, morze zbyt mokre, wiatr zbyt silny, a ludzie hałaśliwi. Zatopić to wszystko.

Usiadła na krześle twarzą do okien. Skierowane były na północ. Czekala. Za moment zacznie się codzienny spektakl. Szyby wybuchną nagle oślepiającym blaskiem. Pomigoczą, oślepią oczy i ściany, po czym równie nagle przygasną. Słońce zsunie się za drzewa.

Działo się to każdego popołudnia, lecz każdego następnego o chwilę później i krócej. Czas płynął.

Lecz tego dnia stanął.

Za ścianą ktoś rozbijał klawiaturę fortepianu. Ktoś szurał klapkami po chropowatej podłodze, usiłując złapać rytm. Połamane dźwięki wypełniły fałszem dom, lecz na swoje

szczęście raptem ucichły. Miała już w ręce ciężką lampę. Gruchnęłyby nią o ścianę. Albo pianiście w łeb.

Nieukierunkowana nienawiść, tak to określa przemądrzała psychologia. A jak określiłaby przypadek Agnieszki, prześlicznej, śpiącej niewinnie, ani trochę zaniepokojonej? Czy nieudana miłość pozostawiła konsekwencje?

Takie nie zaprzędają się niczemu. Takie nie znają zmierzchu.

Zerwała się. Dwa kobiece głosy tak pięknie brzmiące ze sceny, podniosły wrzaskliwą kłótnię. Jeszcze chwila, a zadusi obie.

Nie było miejsca na tej ziemi. Weszła w coś, bo czyjeś słowa otworzyły przed nią drzwi. I nie potrafi wyjść. Przeklęta Ireno Krajnik, odklepująca kodeksy, jak kto inny poranne modlitwy, po cóżeś otworzyła przede mną drzwi? I do czego?!

Nie jestem kimś, kto się zaprzędaje czemukolwiek. I nagle wpędziłaś mnie w pułapkę. Kto ci podpowiedział, sucha stara panno, że jestem paranoikiem, chociaż sama tego nie wiedziałam? Paranoicy są znakomitym medium, ukierunkowałaś mnie, niech cię szlag.

Dopadła okna i wyskoczyła.

Wąty brzozy zagajnik był pusty. Przysiadła.

Słowa Ireny zabrzmiałyby inaczej, gdyby nie sądowe papierki wyszperane w szufladzie. Schowane na dnie. Schowane. Nie ukryte. Piotr był za mądry, aby nie wiedzieć, że tylko ogień zostawia nieczytelny popiół. Papierki nie były popiołem. Lecz nie rozumiała ich. Były kłamstwem. Zasypane prawniczym bełkotem. Przypadek. Nawet nie lekko-

myślność. Tylko przypadek. Po prostu komuś nie chciało się dopłynąć. Były wstrząsem dla niej, dwudziestodwuletniej? Nie były. A jeśli, to nie wstrząsem rozpaczy. Raczej gniewu. Nie znała tęsknoty za nagle **NIEOBECNA**. Jej kroki zawsze zmierzały do cudzego łóżeczka. Dwa pozostałe nie istniały. Czarnowłosa piękność śpiąca spokojnie tuż obok, może się nigdy nie przebudzić z lękiem. Miała dwa lata. **WTEDY**. Nie pojmowała, że żyje. Błogosławiona niemożność pamięci. Ale to sześćdziesięcioletnie pamiętało. Nie twarz. Nie dotyk rąk. Nie głos. Tylko kroki zmierzające nie do jej łóżeczka. Już wtedy była szalona?

Usłyszała chrzęst łamanych łądyżek. Strażnik, ten sam, młody, za piękny do roli, którą pełnił, zbliżał się od stodoły. Zatrzymał się na moment przy Wandzie.

- Ile płacę? - spytała kpiąco.

- Od przełamanych nie biorę - odrzekł. Oddalał się powoli. Coś go powstrzymywało.

- Kogo złapałeś w stodole, strażniku obywatelskich cnót?! - krzyknęła za nim.

Nawet się nie obrócił.

Miał rację ten piękniś, zajmujący się pilnowaniem piasku. Jest przełamana. Nie we właściwą stronę. Kartoteka też miała rację. Wejść to żadna sztuka. Wyjścia niekiedy nie znajdzie się nigdy.

- Poczekaj - usłyszała. Idol wspinał się z plaży.

- Wyjeżdżam wieczorem - rzekł. - Chcę się pożegnać.

- Dzięki Bogu. Na zawsze?! Jakby nie dosłyszał.

- Mam wywiad. W Jastrzębiej Górze, właśnie ten człowiek przyjechał.

- Płonę z ciekawości, Idol. To ten od krów?!

- Od cieląt, Wandeczko - odrzekł. - Stokrotnie nagradzany pan docent Maśliński.

- Kto?!

Spojrzał zaskoczony.

- Znasz go?

- A muszę?!

Przysiadł. Coś go zaintrygowało. Znienawidziła siebie. Nigdy nie nauczył się gry. Z kimkolwiek.

- To ten od baleriny? - spytała. Znowu coś wyczuł.

- Byłej.

- Pójdiesz z nim na piwo? Chyba nie. To facet, co chodzi pod krawatem. Nie pije w budach.

- Chodzi - potwierdził. - Nie pije.

Usiadł na pieńku. Coś go zaprzętało. Nie jej słowa. Coś więcej.

- Znałem Mariana - odezwał się. - Był z miasteczka tuż koło mojej wsi. Na Roztoczu.

Umilkł. Czekala.

- Był artystą - ciągnął cicho. - Nie tylko jego kamera miała oczy. On je miał. Jego obrazy były nie tylko formą. Wyszedł daleko poza to, co się nazywa dokumentem. Reportażem. Jego łąki, lasy, domy mówiły. A światło miało przeźroczyisty niepojęty blask. Patrząc na obraz, myślałem, że tą niezwykłość daje coś z zewnątrz, jakaś migotliwa jasność wpadająca przez okna. Ale nie. Były zamknięte. Pokój

ciemny. Marian milczał. Obraz milczał, ale nie był niemy.

Przywoływał.

- Popatrz, Idol - odezwała się. - Gdy żył, nie dostrzegano go. Zdolny, to jedyne spostrzeżenie. Czyżby tylko śmierć czyniła człowieka godnym pamięci. Zemsty. Żyjąc, nie zasługuję na wiele, dopiero kres wszystkiego wyławia nas z tłumu.

- Kres tragiczny. Tylko ten. I nie wszystkich.

- Jeżeli jego film - odezwała się - był taki, jak mówisz, to nie da się przekazać w nieuczciwe ręce. Nie jest do przerobienia.

- Nasz świat odrzucił dawno wszelkie progi etyczne. Przekracza się je łatwo i bezkarnie. Jeśli zaś chodzi o technikę podrabiania, osiągnęliśmy szczyty. Jego filmu nie trzeba podrabiać. Wystarczy zmienić czołówkę, dokręcić kilka scen, a kilka wyrzucić.

- Puścisz to, Idol? -Nie.

- Do kogo z tym pójdziesz?!

- Do takich jak Mela. Oni nie boją się nikogo. Nie znają etyki. Mela twierdzi, że jest z gatunku wyklętych i że tylko takich przyjmie do siebie niebo. Królowie mieli trefnisiów. A nasi władcy, wybrani przez lud w chwili niepoczytalności, mają paparazzich. Mela jest zręczna, błyskotliwa. Ale tu potrzeba sadysty, rozumiesz. Kogoś, kto lubi ukręcać łby, nie pytając za co. Potrzebny jest ktoś taki jak oni. Jak ci złodzieje.

- Znasz takiego? Zawahał się.

- Zdziwisz się, Wanda. Ale tak jest. Wśród tych najbardziej okrutnych, dla których nie istnieje pojęcie zła,

funkcjonuje zawsze jedna zasada - spłacić dług. On mi go spłaci.

- Idol! - urwała.

- Nie bój się - powiedział spokojnie. - To nie świat noży. To świat chodzących pod krawatem. Skreślają bez krwi. Bez śladu. Na zawsze. Ten ktoś jest wśród nich najlepszy.

Podniósł się.

- Nie zobaczymy się już, Wanda. Z Jastrzębiej wracam do Warszawy.

- A ten uczony łepiek, Maśliński?

- Chyba zostanie. Przyjechał do żony i syna.

- Mają syna?!

Już odchodził, odwrócił się.

- Co w tym dziwnego? - spytał, już trochę czujny.

- Znasz go?

- Studiuję na **uAM**-ie. On jest z Akademii Rolniczej. Ale gadają o nim. Teoretyczny pedancik.

Uśmiechnął się. Nadal coś go niepokoiło.

- Wywiad z takim jest najlepszy. Zasadniczy. Wody doleje potem reporter, żeby się ludziom chciało przeczytać.

Przyłożył dłoń do czoła i zjechał w dół, ku drodze.

Została na czubku wydmy, z daleka widoczna. Poplątały się wszelkie drogi. Wszelkie ważności. Śmierć bliska, śmierć dawna, kłamliwy oprzęd słów wokół dokonanego, nie przewidziałeś wszystkiego, przemądrzały panie Darwin, spuszczać małpy z drzewa. Lepiej byłoby, gdyby tam pozostały. Jeszcze chwila, a któraś z tych zmutowanych, nadmiernie rozwiniętych, wymyśli wielkie bum. Nie bombę zmiatającą pół świata, to drobiazg, to już było. Ale truciznę, która

wsący się w mózgi, przetrawi je i pewnego dnia pozjadamy opuszczone przez nas drzewa, osiadziemy na skałach, nie dostrzegając, że sami nimi jesteśmy.

Jestem pierwsza, która to zauważy. Już zauważyłam.

Kamienieję.

Przywołali ją z okna. Wskoczyła do pokoju.

Nawet nie podnieśli głów. Pochyleni nad pomarańczową teczką, rozmawiali szeptem. Nie patrząc na nią, Karol wskazał jej krzesło obok siebie.

Przysiadła. Niechętna. Znała dobrze narady, w których już dawno kłamka zapadła. Potrzeba tylko słuchacza.

- Czuję się wyróżniona - odezwała się. - Powiecie czym? Nie usłyszeli. Nie byli w czymś zgodni.

- Korneliusz - odezwał się Karol. - Co o nim wiesz?

- Że jest.

- Ma tyle lat, co ty.

- Wał wprost, Karol. Po co tutaj siedzę? Przyjrzał się jej. Zawahał.

- Jest problem. Nie chcemy drugiego Mariana. Wyprostowała się.

- Telefonował z Warszawy...

- Z Warszawy? - przerwała.

- Z Warszawy. Kupił książkę Jerzego Antczaka, te jego *Noce i dni mojego życia*. Dostał amoku. Poczł się w jego sytuacji. Okradziony, przemilczany, upokorzony. Uwierzył we wszystko. Zresztą Jurek nie kłamał. Korneliusz jest ze świata nawiedzonych. Kino zna z ekranu. Nie wie, co to technika powstawania. Nie wie, że co wzrusza w tekście, na ekranie może rozśmieszyć. Wyłumacz mu, że scenariusz jest słowem, opowieścią, materiałem przekładalnym na obrazy. Wyłumacz, że cokolwiek ruszymy, to nie rabunek. To konieczność.

- Wyjaśnij sam.

- Jesteśmy obaj z Piotrem drugą stroną, nie pojmujesz?!

- Jeśli ci z tym tak trudno, zrezygnuj.

- Zależy mi - uciął krótko. Porozumiał się wzrokiem z Piotrem.

- W pierwszej chwili miało to tylko wdzięk. Nowość. I duży podkład refleksji. Potem Piotrowi skojarzyło się z własnym losem. A potem mnie. Mamy obaj po 54 lata, w tym trzydzieści lat czekania, odrzucania, a jak któryś z nas docierał do mety, to ona nagle znikwała. Paragraf 22. Spalaliśmy się jak ćmy. Byliśmy nimi. Wyciekało z nas wszystko, co najlepsze. Czekanie daremne zabija. Zabijało nas. Ale nie pewną dziewczynkę, Gumkę. Jej spokój był hartem. I nie był daremny. Zrobimy z tego maleńki epos o maleńkim człowieku, który miał swoją wielkość. Nie poddał się. Miał umiejętność czekania. Odrzucania sznurka, który sam się pchał do rąk. Czepiał się wszystkiego, co podtrzymuje kondycję sportowca, pasję - w artyście, hart - w cierpiącym fizycznie. To coś, ta umiejętność jest w tej książce. Zrobimy film

o odwadze, film dla wszystkich do nas podobnych. Bez względu na zawód. Na pozycję społeczną. Powiedziałaś, że człowiek zauważa zgubę śmiecia, lecz nie dostrzega utraty osobowości. To jest o tym. Jest przestrogą. Nie spalaj się daremnie w czekaniu, w miłości. W spełnianiu się. W czymkolwiek, co robisz i na co czekasz. Nie beczynnienie. Z szaleństwem w głowie. Ale przytomnym. Wtedy otrzymasz swoje. Umilkł.

Siedzieli, patrząc w okno, w zieleń, lecz jej nie widzieli.

- Kiedy przyjeżdża z Warszawy? - spytała.

- Pojutrze.

- Przemyśle - odrzekła.

Bez słowa wyskoczyła oknem.

Dzień trzeci

Stary rozklekotany rower opierał się o płot. Właściciel się zagubił. Cudza własność kusi. Wanda zawahała się. Czekają ją sześć kilometrów marszu. Powinna dotrzeć do celu świeża, uwodzicielska. Dziewczyna piechur nie robi wrażenia. A powinna.

Przekląła się za niemodne skrupuły. Porzuciła rower. Ruszyła ostro przed siebie, ciągle pouczając zbyt pospieszne nogi, że czeka ją przedziwny dzień. W którym otrzyma odpowiedź. Musi.

Było wcześniej. Za wcześniej dla artystycznych dusz. Odsypiali wczorajsze wieczorne wzniosłości, wygłaszane pod zjadany salceson. Menu nie zmieniało się nigdy. Zmieniały się pory. Śniadanie. Kolacja. Podwieczorek bardzo rzadko, podjadanie dokłada nie tylko energii. Dokłada kalorii. Liczyły je co dnia przed lustrem. Ze zgrozą. Wiotkość nadal była w modzie, a włosy a la topielica powracały do ogólnego użytku, bez względu ile bujności na głowie pozostało. Co rano sprawdzały przybytek i ubytek przed lustrem, pełne

zgrozy. Nawet stała po ich stronie. W końcu co nieco kobiecości podarowała jej natura, co nieco wiedzy, iż ludzie starzeją się nierówno. U męskich małp nie jest to grzechem.

Maszerowała, dbając, aby nie myśleć. Wczoraj wieczorem znowu nieznana jaskółeczka, wprowadzona potajemnie przez kogoś, przepływała przez salon. I one, biedne, od nowa przeżyły zgrozę przemijania. A ona, Wanda, stojąca w progu, wciąż ten sam dreszcz. Niepokój. Nachalne pragnienie usłyszenia odpowiedzi. Dlaczego brzeg oddalił się tak daleko, że nie pragnęło się do niego dopłynąć?

Maszerowała zapewne z tym niezniszczalnym przykrym uśmiechem na twarzy. Z oczyma, które mają naprawdę dość, ale nigdy nie przestaną penetrować. Odwróciła się. Góralskie domki były już niewidoczne. Chałupki Karwi zmalowały. Damian odsypia zapewne noc skautów, owinięty pajęczynami. Zostawiła go, przemawiającego przez sen.

Przystanęła. Zaniepokoiła się. Był marzycielem ten legalny syn gimnastyczki i artysty, mieszanka dość niebezpieczna. Fizyczna harmonia, idealne wyczucie równowagi skojarzone lekkomyślnie z całkowitym jej brakiem. Z wyobraźnią, która nie ma granic.

Literackie bzdury. Człowiek sam sobie wytycza granice. Na ogół tego nie potrafi. Jak ona, maszerująca w tej chwili po prawdę, która nie istnieje. Spuszczając mnie z drzewa, panie Darwin, pozbawiłeś mnie instynktu.

Ironia nie pomogła. Nawet ramiona czuły ciężar dnia, który ją czeka.

Zwolniła. Szła niespiesznie dróżką wśród wydmi. Skraj wątego lasu był blisko. Najwyższy czas obmyśleć strategię.

To cudowne dziecko wsi, Idol, jest nadzwyczaj bystre. Kojarzy błyskawicznie. Wyczuł, że toczy się gra. Skoro wyczuł, będzie ostrożny. Nieufność jest cechą ludzi wsi, ludzi ziemi. Przyrósł do niej.

Tam, w Jastrzębiej Górze, powinna spotkać go przypadkiem. Nieważne, czy naturalnym, czy sprowokowanym. To nie Paryż. Ludzie się stale o siebie potykają, takie są prawa wszystkich kurortów.

A więc spotka go i wprosi się na herbatkę. Może uda, że nie wie, z kim będzie ją pił, chociaż sam jej to wyznał. Jeśli odmówi, wtedy sama wejdzie. Dosiądzie się do stolika, tłumy młodych dziewczyn tak robią, starsi panowie dawno przestali mieć im to za złe. Odwrotnie, bardzo im odpowiada ten bezceremonialny styl. To ich odmładza. Poznała to na uniwersyteckim podwórku. Musi tylko zetrzeć z ust ten nieładny uśmiech. Złagodzić głos. Uderzyć we właściwy klawisz. Dowiedzieć się, kiedy się zaobrączkował ten uczony Maśliński. Był już wtedy właścicielem jaskółki, płynącej po przekątnej salonu Ireny Krajnik? Jeżeli był, to sprawa go dotyczy. Jeśli ma to, co oni nazywają dumą, wstrząśnie nim. Nie szkodzi, że *post factum*.

Zatrzymała się. Idiotyzm. Prawo nie działa wstecz, podobnie jak niczym poparte domysły. Lecz czy to ma znaczenie? Nie dla niej.

Wtem coś podcięło jej nogi. Runęła. Noga była krótka. A więc Melanii.

Siedziała w małej wnęce, na skraju lasu, obok kopca manatków.

- Pomożesz?

- Nie licz! - odrzuciła Wanda ze złością.
- Przeniesiemy barachło w głąb lasu - ciągnęła Mela. -Robi się gorąco.

Powlokły za sobą plecak, plastikowe torby i jakieś drobiazgi w siatce.

- Handlujesz tym śmieciem? - spytała Wanda ze złością.

- Dobrze ujęte. Handluję śmieciem. Wiesz, jak popłatne?

Popatrzyła w bok. Zaśmiała się cicho. Zaplątane w szpilkowe runo leżały cztery młode nogi powiązane ze sobą. I czyjeś owłosione plecy.

- Znany układ choreograficzny - mruknęła Melania. - No, chociaż w tej materii nic się nie zmienia zasadniczego. A już się obawiałam, że młodzież zacznie te figle-migle załatwiać elektronicznie. Przepadnie cała widowiskowość. Czym wypełnią filmy? - Cisnęła w owłosione plecy małą szyszką.

Plecy ani drgnęły.

- No, chociaż jeden potrafi umrzeć z rozkoszy - podsumowała.

Przedarli się przez kilka kłębowisk zdziczałych akacji. Pojawił się parów. Przeskoczyły. I nagle, jak umówione, zawróciły i wylądowały na jego dnie.

- Nie obejmuję mądrości bożej - odezwała się Melania, moszcząc posłanie. - Gdzie logika? Dzieciątka, aby popełnić grzech, musiały skryć się w lesie. Prarodzicom wystarczył gaik. Zlituj się, Boziu, własnoręcznie zaprogramowałeś Adasia. Wyposażyłeś należycie w hormony. Zlitowałeś się nad jego samotnością i dołożyłeś Adasiowi Ewę. Też wyposażoną gruntownie. Zabroniłeś zauważyć, że są nadzy. Pojąć, co do czego służy. Sami się domyślili. Zgodnie z logiką. I ona wy-

jaśniła im resztę. Nazwałś to grzechem nieczystości. Ludzie! Nawet nasze niedoskonałe ziemskie sądy stosują łagodniejszy wymiar kary, gdy sprowokowano przestępstwo. Albo zachęcano do niego. Najgłupszy kodeks nazywa to stwarzaniem dogodnych warunków do popełnienia zbrodni. A Pan Bozia wygnał ich z raju. A nas obarczył dźwiganiem konsekwencji.

- Zamknij się - mruknęła Wanda.

Ułożyła się obok rozciągniętej Melanii. Słońce przeciskało się przez wątłe gałązki drzew.

- Pięć lat temu lasek był bujny - odezwała się Mela. -Przerzedzili go kochani rodacy. Najpierw komuna wyjaśniła ludowi, że wszystko jest jego, czyli niczyje. Teraz to i owo odzyskuje właściciele, nie zawsze tych prawdziwych, lecz lud nie zauważył zmiany ideologii, lud ma zawsze tylko swoje na uwadze. Lud nie traktuje serio uniesień miłosnych czy patriotycznych. Lud zna tylko uniesienia natury, a te uzależnione są od pogody, na którą nikt nie ma wpływu. Ta wiedza ludowi wystarcza. Czego patrioci, ci z lewej i ci z prawej, nie pojmują i nadal pompują ludowi przeróżne idee w głowy.

- Brałaś korepetycje u Idola?

- Ma dobrze poukładane. Lecz urodził się za późno. Dla mnie.

- Miałaś męża?

- Spodobały się takiemu jednemu moje krótkie nóżki. Wytrwaliśmy pięć lat. O pięć za dużo. Pewnego dnia bowiem dokonało się to nieuchronne. Facetowi wysuszyły się hormony. Już nie miał radosnych poranków. Świat był temu winien. Ustrój. Rząd. No i ja, poślubiona Melania.

- Rozwiodłaś się?
- To kosztuje, Wanda.
- Był dziennikarzem?
- Tak myślał - zastanowiła się. - Był nawet interesujący, ale nie umiał zrobić z tego użytku. Za bardzo podobał się sobie. Prowadząc wywiad, prezentował siebie. To normalne w jego fachu. Lecz szef był innego zdania. Taki starożytnik, że prasa to ho-ho. Przeniósł się więc do małej gazetki. W małych gazetkach naczelni są podwójnie ważni. Władza ma to do siebie, że wyrodnieje z odwrotnością proporcjonalną. Im mniejszy, tym większy. Nie spodobali się sobie. Wyleciał. Oczywiście z uzasadnieniem. Wyższa konieczność. Dobro firmy. Obluda, Wandeczko, to bezwzględnie konieczny parawan. W każdej akcji. Zaczyna się ją dla ludzkiego dobra. Za chwilę owo **DOBRO** staje się rzeczą samą w sobie, czyli dla niektórych. Tę rzecz samą w sobie wymyślił niejaki Immanuel Kant. Od tej pory kantujemy w taki sposób niepotrzebnych. Oj, przy czym ja byłam? Aha, przy radosnych porankach. Dokładnie przy końcu. Immanuel mego adonisa okantował.
- Jest coś, co traktujesz serio, Mela?
- To, co mówię, nie brzmi serio?
- Darowałabyś zdradę?
- Zależy od odszkodowania. A tak a propos, w tej chwili też zdradasz. Nie wiem kogo. Siebie - na pewno. O co grasz?!
- O nic.
- Dziwnie to **NIC** wygląda. Zapewne chcesz wiedzieć i coś zmienić. Paranoja naszego narodu. Wciąż zmieniają na to

samo albo na gorsze. Francuski lud był dużo mądrzejszy. Urządził prawdziwą rewolucję. Poucinał główki królom, książętom, hrabiom, kardynałom, potem obrócił kierownicę i poucinał główki wszystkim rewolucjonistom. Zmęczony wrócił do starego wypróbowanego systemu nierządu - do cesarstwa. A my wracamy do mały na drzewach. Pewnie dlatego masowo wycinamy lasy. Wanda wstała. Melania ściągnęła ją w dół.

- Wiem, kto zniszczył Mariana. - Umilkła, po czym za-szeptała: - Nie rozumiesz, że trajkoczę o byle czym, żeby zakrzyczeć krzyk?!

-Mela!...

- Zrobił to ktoś duży łapkami kundelka.

- Mela!

- Zamknij się. Za tydzień pogrzeb. W jego miasteczku. Znam je, byłam. Pojadę. Opowiem, dlaczego się zabił. Zrozum, to może opowiedzieć tylko ktoś mały, pogardzany paparazzi. Baba. One są zdolne. Nieprzewidywalne, znasz to? A więc będę nieprzewidywalna. Opowiem historię bezkrwawego mordu. Użyję słów najbardziej jednoznacznych. Zaproszę kilku paparazzich z sąsiednich gazetek. Przyfruną! Nie przeoczą jednego słowa. Przemnożą je przez ekscytujące przymiotniki, nie przegapią takiej okazji. A wyrażę się głośno i wprost: świat władzy ma wypróbowany sposób -zabija przeszkadzającego albo zdolniejszego, po czym przysyła na pogrzeb poczet honorowy. Tego wymaga obłuda. Widzę tu ten poczet... Dalej polecą samo. Ruszą komórki. Kamery. Zdjęcia. *En face*. Z boku. A ja tymczasem podgrzeję rodzinę, sąsiadów, rolników, u których spał, łażąc po polach.

Piwoszy, z którymi pił, aby byli rozmowniejsi. Ludzie mnie nie zawiodą. Paparazzi też nie. Rzecz się rozniesie po małej Rzeczypospolitej i po wielkiej kinematografii, i po jeszcze większych fotelach, które wypełniają tak zwane wymieszane zawodowo osobistości. Umilkła.

- Spalisz się, Mela.

- Nie sądzę. Gdybym wyleciała na zieloną trawkę albo za kratki, oznaczałoby to, że nie ma wolności słowa, tego świętego zawołania. A może jakiegokolwiek wolności. Idol się spali. To możliwe. Za mało podły.

Zamilkły.

- W razie czego schronię się u Karola, w Berlinie. Łączyła nas kiedyś wspólnota odrzuconych. Dla tych tu jest nietykalny.

Jastrzębia Góra była blisko. Poczula ją z daleka. Powietrze wypełniał swąd spalin, smrodek dopiekanych na rożnie szaszłyków, skądś z oddali dobiegała dziarska muzyka, kopuła cyrku wyrosła niebawem z za pogórka.

Idol wyszedł nagle z za zakrętu ulicy. Nie zauważył Wandy idącej równolegle. Czytał. Pozwoliła mu iść. Przyglądała się sylwetce. Poruszał się lekko. Manewrował z wdziękiem tą swoją chudością, musiała to przyznać. Da się sprowokować?

Zaprości ją do stolika z jajogłowym Maślińskim? Ten potrójnie habilitowany uczony traktuje zapewne tylko siebie z należytą powagą. Czyta tylko swoje mądrości albo cudze wyrazy podziwu - dla siebie. Innych nie zauważa. Znała takich na metry, kroczyli korytarzami uczelni, ledwo odpowiadając na ukłony. Ten jest dokładnie taki sam. Wymodelowano ich, z nielicznymi wyjątkami, na jedną modłę: mieszkańcy bezludnych wysp oznaczonych zakazem „nieutytułowanym wstęp wzbroniony”. Musi zapamiętać, aby co drugie słowo powtarzać: „Tak jest, panie profesorze”.

W jaki sposób zdobył śmigłą jaskółkę, której nie tyczyło prawo grawitacji? Kto kogo dostrzegł? Ona jego? Wykluczone. Uczynił z niej żonę. Uszlachetnił swoim nazwiskiem. Tak to zapewne pojął.

Podejdzie go. Wyciśnie z niego przeszłość. Ma dwadzieścia dwa lata, powierzchowność pięknej dziewczyny - co się nawet u takiego liczy - i duszę nieobliczalnego paparazzi.

Zaśmiała się.

Idol zatrzymał się. Przeszedł ulicę.

- Co tu robisz, Wanda?! -Idę.

Spojrzał spod powiek. Jedno oko miał jeszcze w broszurce, drugie już pojęło, że Wanda nie jest tutaj tak sobie.

- Zaproś mnie na kawę, Idol. Wetknął broszurkę pod pachę.

- Maśliński nie jest w twoim typie. Zaskoczył ją.

- Bystry jesteś, synu rolników w czterdziestym pokoleniu -przyznała.

- Ile ty masz lat, Idol.

- Trzydzieści trzy.

- Jak Chrystus. Zadbaj, aby w twojej drapieżnej branży nie napotkać Judasza.

- Kręcę o krowach, Wanda. Dotąd były lojalne. Wiedzą, że bez nich padną z głodu wszelkie draństwo i ideały.

- Niekiedy to to samo - zauważyła.

- Niekiedy tak - zgodził się.

Zatrzymał się. Zauważył kogoś po drugiej stronie. Wymienili ukłony.

- Przypomina aktora - rzekła. - Nie urodą.

- Jest nim. Gra na swojej katedrze. Milcz przy nim. Twierdzi, że kobieta powinna iść zawsze krok za mężczyzną. Oświeciłem go, że pewna młoda osoba wyjaśniłaby mu natychmiast, że gdyby kobieta szła równolegle, mężczyzna by nie nadążył.

- Roześmiał się?

- Za wiele wymagasz. Jestem umówiony za pół godziny. Lepiej znikaj.

- Przemyślę.

Szli niespiesznie. Przytrzymał ją za łokieć, gdy nadjechał jakiś szalony rowerzysta.

Nie odsunęła się, jak dotychczas. Musiała wejść z nim, zasiąść przy tym samym stole, przyjrzeć się uczonej główce, która wybrała balerinę. Niedościgłą jaskółkę. Kiedy to zrobiła? Przed? Po? Trwali przy niej równocześnie, i Piotr, i główka? Chyba nie. Należał do tych, co to się nie dzielą. I do tych, którzy jeszcze nie mając kogoś na własność, już czują się wyłącznymi posiadaczami.

- Hej! - usłyszała Idola. - Pytam po raz trzeci.

- Wchodzę z tobą do knajpy - oznajmiła.
- W żadnym razie.
- Na dziesięć minut. Na czas wypicia kawy. Spojrzał uważnie.
- Bądź człowiekiem, Idol. Nie głupim facetem.
- W porządku - mruknął. - Pamiętaj. To ja mam z nim wywiad. Nie ty.
- Nie jest w moim typie, sam orzekłeś.
- Tym gorzej - mruknął. Weszli.

Kawiarnia była prawie pusta. Wybrał stolik przy szerokim oknie. Podsunął krzesło, po czym oddalił się bez słowa do bufetu.

Popatrzyła za nim. Wysoki, patykowaty. Nawet zgrabny w swojej chudości.

Lecz nieelegancki. Przyszedł w swoim prastarym niebieskim ubranku z polskiego teksasu. Rozmawiał swobodnie z barmanką, jak ze znajomą.

Śmiali się. Nie do siebie. Śmiali się wesoło przed siebie. Weseli, rozluźnieni. Nie znała go takim. Czyżby i na niego wpływała ujemnie? Owszem, wpływała. Chciała tego. Dlaczego więc czuje dziwną przykrość, patrząc na tych dwoje roześmianych?

Zwróciła się ku oknu. Ten chudy beniaminek swoich średniorolnych rodziców był z innego świata. Otrzymał, co najważniejsze. Pewność, że choćby pół świata pozamieniało się miejscami, jego miejsce pozostanie nietknięte. Małe, własne, w domku sto razy opisywanym, w sadzie, w którym pachnie owoc, brzęczą pszczoły i obezwładnia maciejka.

Tak, to pewnie oni pochyleni nad ziemią przekazali mu wiedzę, że tylko cierpliwe trwanie przy sobie jest prawdziwą bliskością. Zapewne od nich wziął swoje niepiękne wąskie oczy i spoglądanie irytująco czujne, jakby wszystkie sprawy tego świata były do wymierzenia. Wrócił z kawą.

- Nadchodzi - mruknął. - Nie miałbym mu za złe długiego spóźnienia. Wymyślił środek zmniejszający umieralność cieląt. Wziął nagrodę.

- Za co?! - mruknęła. - Dotąd dawali za zwiększanie. Do wnętrza wszedł elegancki mężczyzna. Ten niby-aktor z ulicy. Ubranie wyjaśniało, że nie na weekend przybył. Uniósł rękę, pozdrowił skąpym uśmiechem, wskazał na najbliższy stolik i chwilę rozmawiał z siedzącymi.

- Co to za facet, tak w ogóle?

- Żonaty.

- Żadna przeszkoda.

- Pięćdziesiątka i kilka drobnych.

- Zasuszeni są zdrowi, Idol.

- W co grasz, Wanda?

- Zagraj ze mną! - odkrzyknęła cicho. - Nie bądź taki skurwysyn jak inni. Jestem czymś więcej niż młodym ciałem.

- W co grasz? - powtórzył. - Przy nim nie używaj takich słów. To facet z prostym podziałem. Albo lelija. Albo dziwka.

- Jestem leliją nadal, Idol. Dziwne, nie? - urwała. - Coś rzekł? Jaki jest? Albo-albo? Cudownie. Taki nigdy nie wybacza.

- Nie przekreślisz go, Wanda.

- Rozumiem - mruknęła. - Nie kocha. Tylko kopuluje. Kompletny brak wyobraźni.

- Oszalałaś?!

- Nie bój się, Idol. Zrobisz wywiad. Nie pytając. Taki jak on ma wszystko nagrane. Od początku do końca. Masz tylko słuchać.

Umilkła. Srebrnowłosey kończył rozmowę ze stolikiem. Żegnani unieśli się nad krzesłami. Trwali wyprostowani. Zajęli krzesła, dopiero gdy oddalił się o wiele metrów.

- To się nazywa autorytet - mruknęła Wanda. Idol wstał. Ruszył naprzeciw.

Przywitali się. Idol grzecznie, z umiarkowanym szacunkiem. To jej się zawsze podobało u tego rolniczego syna -umiarkowany szacunek. Dystans. Nic za wysoko. W artystycznym graj dole mieli go za początkującego dziwaka.

Czekała.

Przybliżyli się.

Przywitał ją z nieco przesadną kurtuazją. Pomyślała, że natura pozbawiła go wrodzonej uprzejmości. Uczył się jej dość długo. Pocałunek w dłoń był przylepny. Nie jest to dobry sposób na złapanie jaskółki. Czym ją ujął?

Przyglądała mu się z niewinnym uśmiechem niewinnej dziewczyny. Powiedziała nieśmiało, że dużo o nim słyszała. Wprawdzie jest tylko na biologii, ale... Nie czekał. Przeobraził się natychmiast w kogoś, kim w połowie był.

Wysłuchała dość długiej prelekcji o hodowli bydła domowego. Uśmiechała się, nie kryjąc podziwu. Idol siedział sztywny jak kij.

Profesor mówił. Miał czas za cenę złota. Tu, ówdzie i jeszcze gdzie indziej był oczekiwany. Jego wzrok błędził po twarzy Wandy. Po opalonych ramionach, włosach pszenicznych,

związanych w gruby warkocz, przyglądał się jej ustom wypełnionym olśniewającymi zębami i czasem mu się myliło.

Słuchała grzecznie. Zapisywało się w niej wszystko. Każdy gest zamierał w połowie, słowo pilnowało się profesorskiej dykcji, treść wypełniała się informacjami, które nic jej nie mówiły. Nie musiały. Mówił dla siebie. Udzielał wywiadu, niezachęcony wstępnym pytaniem. Z całą pewnością był jednym z tych, którzy mają żony i kobiety. Biedny zakłamanym skurwiem, ciasna, pięknie ostrzyżona główka. Takim dałaś się złapać w siatkę, nieziemska jaskółko? Kiedy? Kiedy to było? Przed balem u Ireny Krajnik, czy już po? Były zdjęcia próbne i nagle film siadł, spuszczone szlabany, ta klęska wpędziła cię do alkowy uczonego łepka czy już w niej byłaś?

- Nie słucha pani? - usłyszała.

- Zasłuchałam się, panie profesorze - poprawiła promiennie.

Połknął wyjaśnienia. Nagle zastygł. Spojrzał w okno.

- Wraca żona - poinformował. - O, skrzyła do sklepu -zastanowił się.

- Przy czym byłem?

- Przy uczciwości - podrzuciła Wanda. - Musi być bezwzględna?

- Absolutnie!

- O nie - sprzeciwiła się. - Bywają sytuacje, w których się o tym zapomina. I to jest nawet usprawiedliwione.

- Nigdy! Nie u mnie - uciał stanowczo.

W oczach ukazał się twardy błysk. Nie zauważył zmiany tematu. Albo to ona nie zauważyła, że z wiedzy o hodowli bydła przeszedł w sferę etyki.

- Nigdy! - powtórzył. - W sprawach zasadniczych bywam zasadniczy. Odrzucam wszelkie wyjaśnienia. Nie znam okoliczności łagodzących.

- Ależ to bezlitosne - powiedziała Wanda.

- Konsekwentne - sprostował.

- Do diabła z taką konsekwencją - odezwał się nagle Idol. Prawie o nim zapomniała.

Siedział, nie patrząc na żadne z nich. Zasmarował długopisem serwetkę. Bruzda na czole pogłębiła się.

- Jest pan bardzo młody - rzekł Maśliński tonem nagany.

- Lubię naturę i wszystkie jej niespodzianki. A jak się człowiek dobrze przyjrzy, to połowa niespodzianek, tych najgorszych, ma swoje źródło w czyjejs nieugiętej konsekwencji.

- Podarowałbyś zdradę? - spytała nagle Wanda.

- Czemu nie - odrzekł Idol.

- Z braku ambicji?

- Możliwe - przyznał.

- A gdyby była to miłość?

- Kto nie kocha, nie daruje nigdy - odrzekł. Wanda zamilkła nagle.

- Trafieś w sedno - mruknęła. - To jest chyba to. Wstała, lecz zaraz usiadła. Na mgnienie zapomniała, po

co tutaj przyszła. Chłód i ciekawość, z jaką sondowała tę posrebrzaną główkę, zniknęła. Wyssało ją stąd. Znalazła się nagle w domku Ireny Krajnik, wśród ścian oblepionych mężczyznami, zawsze chętnymi. Płynęła ta - być może już Maślińska - jak biały obłok, a Piotr budował dla niej kadry.

Dlaczego zostało to zapamiętane przez Melanię. Co w tym obrazie było tak naprawdę? Spontaniczności nie da się ukryć, zachwyty też.

Dostrzegła, że jest obserwowana. Patrzyli na nią, Idol z niepokojem, uczona główka sztucznie uśmiechnięta.

- Ach, ci młodzi - odezwał się, siląc się na pobłażliwość. -Wszystko sprowadzają do jednej płaszczyzny. Miłość i zdrada. Tylko to ma wartość w waszym wieku?

- A w pana, co?

Zaskoczyła go zmiana tonu. Odrzekł, znowu namaszczony:

- Mówiłem. Bezwzględna uczciwość.

- Z obu stron? Zamilkł.

Idol stuknął ją drugi raz w kolano. Niech stuka.

- W tym szkopuł, panie profesorze, prawda? - powiedziała milutko.

Patrzył na nią. Nie nadażał. Nie łapał niuansów. Wyglądał inteligentnie i zapewne był inteligentny w jakiś tam sposób, ale dotyczyło to tylko jego podwórka. Już pewnie podejrzewał, że się tu z niego kpi, co również jest charakterystyczne dla ćwierćinteligencji.

Uśmiechnęła się do niego najserdeczniej. Uśmiechała się długo i rozbijając, aż zrozumiał, że ma przed sobą zwykłą, zwariowaną dziewczynę, jak one wszystkie. Przyłożywszy do niej schemat, poczuł się uspokojony.

Spojrzał w duże okno. Uśmiechnął się.

- Rodzina wraca - poinformował.

Za oknem był miniskwer. Szeroką ścieżką nadchodziła szczupła, omal niewidocznie utykająca kobieta. Szła lekko,

jakby nie dotykała ziemi. Nie uczyła się tego. Miała to w sobie. Wanda wpatrywała się w nią z napięciem. Dostrzegła wzrok Idola. Opanowała się.

- Muszę już iść - powiedziała.
- Syn ma dzisiaj urodziny. Robimy ucztę.
- Ile ma lat? - spytała.
- Czternaście.

Oszalały licznik uruchomił się w jej głowie. Policzyła wstecz. Woda zamknęła się nad kajakiem lat szesnaście temu. Mały nie był jeszcze w projekcie. Czyli kto był konstruktorem czternastolatka?

- Muszę iść - powtórzyła.

Wstali. Odczekali, aż dotrze do drzwi. Nadchodzącą jaskółkę ktoś zatrzymał na ścieżce. Wanda zbliżała się ku niej powoli. Miły głos odpowiadał na pytania. Przepiękny tembr. A więc i tym ją obdarowano. Rozmawiający odszedł.

Jaskółka wpatrywała się w uliczkę, na kogoś czekając.

Odwróciła się ku Wandzie. Spojrzały na siebie. Uśmiech zgasł w rozpromienionych oczach. Wanda wiedziała dlaczego. Twarz Wandy była twarzą Elżbiety, tej sprzed lat. Na pewno się znały. Oczy jaskółki potwierdziły to.

- Hej!... - usłyszały.

Nadbiegał wysoki chłopiec. Chude nogi, lecz nie szczudłowate. Krok rozbieranego sportowca, lecz nie marszowy. Taneczny. Miał to wrodzone. Odziedziczone, jak urodę twarzy. Białą, delikatną, jeszcze nie młodzieńczą.

Zbliżył się, zaciekawiony.

- Dzień dobry. Gdzie tata?

Wanda znieruchomiała. Znała ten tembr. To naleganie ukryte za prośbą. Melodię głosu jeszcze chłopięcego, lecz z całkowitym brzmieniem, który znała od dwudziestu dwóch lat.

Uśmiechnął się do niej. Też znała ten uśmiech, krótki, powierzchny, taki dla nieznajomych. Chłopiec coś wyczuł. Spojrzał ma matkę.

- Panie się znają? - spytał

- Z widzenia - odrzekła Wanda.

- Jest pani moim gościem! Zapraszam na przyjęcie - rzekł rozpromieniony. - Kawiarnia czeka, o tam. I ktoś przy oknie - zaśmiał się. Dodał cicho, jakby nie chciał być słyszany: - Jak go znam, złości się. - Zaśmiał się rozbawiony. - Mądry człowiek i przyzwoity szanuje cudzy czas - sparodiował.

Oddalili się. Szedł koło swojej matki, wciąż się śmiejąc. Poruszał się lekko jak ona, jakby nie po kamieniach stąpał. Patrzyła za nimi.

Byli z siebie, ci dwoje. I z kogo jeszcze? Kto przekazał mu tembr, oszczędny uśmiech i ledwo powstrzymaną potrzebę kpiny. Z czegokolwiek. W tym jest przetrwanie, powiedział kiedyś Piotr.

Przetrwał. Dołożył się nawet do konstrukcji chłopca. Uroczego. Ten urok nie po nim wziął.

Wanda opadła na pień drzewa oszołomiona.

Przerosło ją. Na mgnienie zapomniała, w jakim celu zorganizowała owo podsłuchanie, przesłuchanie - czy co to w ogóle było.

Oczy kobiety nie kłamały. Poznała, na czyją twarz patrzy. Poruszyło ją to. Nie przestraszyło. Po prostu dotknęła czegoś sprzed lat i właśnie to ją poruszyło. Do głębi. Była nieuchwytną jaskółką, której nie tyczyły prawa grawitacji. Lecz miała oczy kobiety, jasne, przeźrocyste i one ją zdradziły. Przesunął się smutek. Mrok, którego nie kryła. Czy było między nimi coś, co zdarza się raz na tysiąc lat, coś bezinteresownego, nieskonsumowanego, coś, co się miało stać, ale nie zdażyło?

Chłopiec ma czternaście lat, urodził się dwa lata po przewróconym kajaku, nie jest więc konsekwencją zdrady jednej ze stron. Ta druga strona, ów nieprzejejdny głosiciel bezwzględnej prawości, nie wie, że kocha cudzego syna. Jakby się zachowała ta sucha uczona główka, poznając prawdę.

Wstała. Nie wybrała kierunku. Po prostu szła przed siebie. Czternaście lat temu zjawiała się Teresa. Spokojna, niezależna, zbyt inteligentna, aby nie zrozumieć, że weszła w dom, w którym się przemilcza. Wiedziała co. Żyli w pięcioro plus Czarna Wdowa, jakby się nic nie stało. Jakby nie było trzciny, burej wody wsysającej kajak, zamykającej się na zawsze. Zakazano pamiętać. Pamięć usłuchała?

Oparła się o pień. Oniemiała jak dziecko sprzed lat, pozostawione na brzegu.

Szła i szła. Droga ją prowadziła. Znalazła się w pustce. Pustka ma swoją konsystencję wbrew logice słowa.

Ktoś szedł równoległą ścieżką, potykając się o wystające korzenie. Przez skąpe listowie przebłyskiwała czerwona pilotka.

Odchylona spotkała odchylonego. Prawidłowe.

Zauważył ją. Wahał się. Przystawał, to ruszał szybciej.

Nie zachęcała go. Dziwny stan zawieszenia trwał.

Nie dowie się prawdy, bo nie istnieje, a jeżeli - to zatarta. Mecenas Goebbels miał rację, nieotrzymanie odpowiedzi jest bardziej bolesne, pytanie bowiem nigdy nie ucichnie. Elżbieta była bardzo inteligentna, rzekł. Inteligentne dopływają do brzegu, panie mecenasie, gdy na brzegu czeka dziecko. Prawo im nakazuje, niekoniecznie miłość. Pozostawione dziecko było ostatnie do tego uczucia. Ale istniało, istniało naprawdę. Widoczne z najodleglejszego punktu jeziora. Widziało przewracający się kajak, a więc i oni widzieli siedzące samotnie.

Znowu doszedł ją trzask gałązek. Korneliusz szedł równoległe, czerwona pilotka, okręcona tym razem daszkiem na ucho, upodobniła go do klauna.

Przedarł się do niej. Ściągnął na poszycie. Nie protestowała. Siedzieli, milcząc.

- Milcz! - nakazał.

- A co robię?

- Myślisz, że jestem pomyłony? - spytał po chwili.

- Myślę.

- Powiedziałem im, że przyjeżdżam jutro z Warszawy.

- Podpiszesz umowę?

- Może. Nie wiem. Nienawidzę, że zaufałem. Obróciła się cała ku niemu. Był bardziej szalony, niż ona kiedykolwiek będzie.

- Sam z nią przyszedłeś - przypomniała.

Milczał. Patrzył przed siebie, niczego nie widząc. Wyglądał, jak wychudzony ptak z przełamaną szyją.

- Byłem na krawędzi. Świat się nagle zawalił. Krzyczałem, po co tutaj jestem? Po co żyję? Mówili, że zwariowałem. -Umilkł.

Siedziała nieporuszenie. Było w nim coś nie tylko szalonego. Coś tragicznego, czego nie potrafił unieść. Pojęła to już wtedy, gdy siedział tam, w korytarzu, u nich, zaciskając palce na pomarańczowej teczce. Słuchała go półobecna. Była gdzie indziej.

- Wtedy zjawiała się ona. Gumka. Pod powiekami. Nakazała, abym ją stworzył! - Znowu umilkł. - Stworzone wyobraźnią stają się żywe, religia zna takie przypadki. Zrozumiałem, mnie się właśnie taki przytrafił. Zaciskałem oczy, jeszcze nie ufając. Stawała się coraz realniejsza, rozumiejąca śliskie ręce.

- Poznałeś takie? - spytała cicho, wciąż niezupełnie tu. Nie odpowiedział. Złagodniał. Wpatrywał się, lekko oddalony, w coś, co przynosi spokój.

- Gdy byłem dzieckiem, przyjaźniłem się z Kubusiem Puchatkiem. Bardzo mi pomógł. Gdy byłem starszy i już nie mogłem wytrzymać, siadałem przy Małym Księciu na jego Planecie. Wtedy moja, oddalona, stawała się przyjaźniejsza. Czy umiesz się zaprzyjaźnić z kimś, kto istnieje tylko w wyobraźni? Potrafisz?!

Nie odpowiedziała.

Nawet nie zauważył. Mówił szeptem.

- Przeczytałem książkę Jerzego Antczaka. Przeraziło mnie. Mogę stracić, co najważniejsze. Co mnie ocaliło. Gumkę. Która nie była ćmą.

- Sam przyszedłeś - przypomniała znowu. - Dlaczego mówisz właśnie mnie?

Schował twarz w dłonie.

- Siedziałaś wtedy w korytarzu, obok mnie, jak ktoś, kto nie jest u siebie.

- Nadal nie jestem - powiedziała.

- Schowałem Gumkę do szuflady. Na samo dno. Nagle wyjąłem ją. Boję się.

Dotknęła jego ręki. Nie cofnął jej. Nie był szalony. Znała takie stany, nie umiejąc ich nazwać. Co się po tobie przejechało, spytał pewnego dnia Damian, że cała jesteś pochowana. Przed kim? Nie wiedziała wtedy, że schowała się przed pamięcią. Jak ten obok, wychudzony, przestraszony ptak. Napisał coś genialnego z genialną prostotą. Napisał o możliwości ocalenia siebie przed pułapką, którą człowiek sam na siebie zastawia. Teraz nie potrafi ze swojej pułapki wyjść, ktokolwiek ją na niego zastawił.

- Zaufaj - powiedziała. - Nie chowaj tego przed innymi. Może zrozumieją, że nie warto spadać na dno. Że właśnie takie opadanie jest niewybaczalnym złem.

Słuchał. Nadal był zagubiony. Nadal był tym samym Korneliuszem, słabym Korneliuszem Ćmą. Jak ona nią była, drążąc, co powinno być zapomniane na zawsze.

- Zrobisz, co zechcesz - odezwała się. - Jesteś, nadal podzielony.
Może... - umilkła.

Szukała słów. Czekał na nie. Był z innej planety, był uszkodzony, ktoś mu to zrobił. Żyła dotąd w innym świecie, przeniesiono ją nagle w jego świat. I ten jego świat wciągał ją.

- Może - powtórzyła - dziewczyna, która kazała się stworzyć, zrobiła to po to, abyś ocalał. Abyś się nie bał. Abyś zrozumiał, że zamknięty w swojej szufladzie zginiesz.

Zwrócił się ku niej całym sobą. Oczy mówiły, że na takie słowa czekał. Wstał. Odszedł bez słowa.

Trwała w oszołomieniu. Nie знаła takiej Wandy. Nie była nią. Nie była też tamtą z kawiarni. Była znikąd.

Wpatrywała się w ścianę zieleni. Nie tylko psychologia zna pojęcie obsesji. Biologia, okazało się, również. Biologia zna jednakże fizyczne konsekwencje tegoż. Udawanie. Nieobecność, pozorny udział w czymkolwiek, co nie jest nią. Kosmiczna niewola.

Popadł w nią. Ten dopiero co obecny.

I ona, Wanda, wciąż nie tu, wciąż jakby obok.

Usłyszała bajkę. Komuś ukradziono ufność, pozostawiając strach. Odwrócił się więc od Zielonej Planety. Zaprzyjaźnił z postaciami, które do życia powołało czyjeś pióro. Zaufał

im tak dalece, że pewnej nocy spotkał w swoim śnie dziewczynę, która nakazała się stworzyć. Uczynił to. I teraz zjada go strach, że Gumkę utraci.

Piękna baśń. Absolutnie niezrozumiała dla wszelkich chronometrów. I dla studentki biologii, jeszcze nie tak dawno, dziesięć dni temu, gardzącej wszelkimi domniemywaniami. Duszy. Intuicji, która pomaga przewidzieć. Nie przewidziała. Poruszona czymś słowem, zamiast chronić, zastawiła pułapkę. Myśli natrętne. Myśli ukryte, tylko czekające na słowa starej panny. Intuicja nie przestrzegła chłodnej natury biolożki, że tkwi w niej obsesja. Obrastająca niewidocznie. Potrzebująca tylko iskry słów, aby wybuchnąć, zmiatając wszelką logikę faktów. Nie. Logika istniała. Coś z czegoś wynikło. Coś po czymś nastąpiło. I coś wydarzyło się przedtem.

Oparła głowę o szorstki pień. Zbyt gwałtownie. Zraniona skroń zaprotestowała bólem. Ledwo go odczuła. Obsesja bowiem zna tylko jeden upiorny ból - brak odpowiedzi na pytanie.

Burza zaanonsowała swoje przybycie. Zagrzmiało. Zabłysnęło. Przeleciało przez las. Niech grom nareszcie strzeli w tę cholerną Zieloną Planetę. Niech spali rozbudzoną pamięć. I tych, którzy się w tej pamięci przechowali. Jest ich kilkoro. Czternastolatek z twarzą jaskółki, której nie tyczyło prawo grawitacji. Z melodią głosu znanego od dwudziestu dwóch lat. Z uśmiechem, który w sobie coś krył. Co? Świadomość, że zna swego konstruktora? A jeśli nie, to jakby się zachował, poznając prawdę?

Myśli nagle umilkły. Czternastolatków się nie przekreśla. Nie uczyni tego nawet najbardziej zmutowana małpa.

A więc kolej na oszroniałą, pięknie przystrzyżoną główkę. Cóż by rzekł wielce uczony pan profesor zajmujący się roga-cizną, gdyby usłyszał, że sam był rogaczem.

Myśli znowu utknęły. Na pewno istniał już wtedy. Stał pod ścianą w salonie Ireny Krajnik i sycił oczy swoją własnością. Płynącą jaskółką. Pycha posiadania nie pozwoliła mu dostrzec innych wpatrzonych oczu. Oczu reżysera, który wtedy układał kadry opowieści, na którą artystyczny parnas dał nieoczekiwanie zgodę. Czekał na nią latami. Gorzkniał. I nagle, otrzymawszy szansę zaistnienia w swoim świecie, odrzucił ją. Z jakiej przyczyny?

Wytarty frazes mówi, że nic się bez niej nie dzieje. Jakie imię miała **PRZYCZYNA**? Jaki kształt? Obłoku przepływającego skosem przez salę? Gdzie wtedy była Elżbieta? Gdzie była ta niezwykle inteligentna, umiejąca kojarzyć? Miała nad-umiejętność odczytywania tajemnych znaków. Była nieprzewidywalna. Co kryło się pod tą nieprzewidywalnością, panie Goebbels? Rozpacz? Niemożność wybaczenia? Czy są to wystarczające przyczyny, aby lustro zechciało się nad nią zamknąć? Nie miało prawa, panie mecenasie. Chciało bez powodu? Nie dano mu wyboru?

Patrzącemu dziecku też nie dano. Oniemiało. Lecz obraz trzcin obrastających topiel i złowroga cisza pozostały w nim na zawsze. Przyczajone. Podstępne. Nadające ustom gorzki wyraz. Oczom - nieufność. Sercu - niemożność przywiązania się.

Siedziała w bezruchu. Błyskawice rozszalały się. Przecinały las. Obraz trzciny i topieli nie zniknął. Odpowiedzi nie było. Ale ona gdzieś tkwi. Kim był czternastolatek dla obojga, dla Piotra i Jaskółki? Następnym pożegnaniem? Ostatecznym zerwaniem tego, co istniało w czasie zaprzestania dokonania albo niedokonania? Co łączyło tamtych dwoje, mężczyznę układającego kadry i Jaskółkę w nich uwiecznioną? Coś niepowtarzalnego?

Tkwiła w pustce. Las poczerniał. Gromy waliły w drzewa. Niech ją nareszcie spala z tą przeklętą przywróconą pamięcią.

- Wynoś się stąd! - zawrzasnął czyjś głos nad jej głową. Czyjeś ręce poderwały ją i popchnęły gwałtownie ku ścieżce. - Wynoś się, do jasnej cholery!

Nie знаła tego głosu.

Ruszyła ścieżką. Znowu szła i szła.

Światła bijące z okien powiadomiły ją, że dotarła do Karwi. Górskie domki wynurzyły się spod podnóża wydm. Okna płonęły. Usiadła pod ciemnym. Trwała w dziwnym odurzeniu. Nie wiedziała, pod którym oknem siedzi. Wystarczyło, że było ciemne. Z przedziurawionej rynny chlustała woda. Błyskawice nadal szalały, deszcz sunął jak lawina z nad plaży. Usłyszała czyjś głos. W ciemnym pokoju ktoś był.

Znany jej tembr, ściszony, o melodii, jakiej dotąd nie słyszała, rozbrzmiewał półszepem.

- Straciłem ją. Nie wróci.
- Wróci - odpowiedział spokojny głos Teresy.
- Nienawidzi mnie. Wywlokła z dna szuflady wszystkie artykuły, wszystkie pomówienia piśmideł. Zbudowała własny obraz. Przegrałem wszystko.
- Jest rozumna, Piotr.
- Tym gorzej. Serce niekiedy daruje, chce zrozumieć. Rozum nigdy.
- Opowiedz jej prawdę. Jak było.
- Nie uwierzy. Ma swój obraz. Nic go nie zmieni.
- Powiedz jej, Piotr.
- Musiałbym powiedzieć o Elżbiecie. Tego mi nie wolno. Byłaby to nikczemność.

Głos umilkł. Wanda czuła, jak w niej wszystko zamiera. A przecież już nic w niej nie zostało, już poukładała obraz ten zapamiętany sprzed lat z tym ułożonym z oszalałych myśli. Nie potrzeba jej więcej.

Nie wstała jednak.

- Byliśmy razem siedem lat - odezwał się głos Piotra. Przytłumiony. Martwy. Lecz słyszalny. - Nie potrafiłem stać się jej wyłączną własnością. Była z tych, które muszą posiadać całkowicie, bez reszty. Dusłem się. Niekiedy uciekałem. Nie szukałem kobiet, szukałem ciszy, zrozumienia. Ułudy, że coś takiego istnieje.
- Powiedz jej - nalegał spokojny głos Teresy.
- To nie jest do zrozumienia. Wybrała nas dwóch. Chłopca i mnie. Każdego z osobna. Krystian był tylko jej. Wyłącznie

jej, nie dzieliła tej miłości. Lecz nagle Mały dostrzegł, że umiem naprawiać zabawki. Naśladować głosy zwierząt. Czekał na mnie. Wyrwała go z moich rąk. Widziałem, jak na mnie patrzy. Byłem wtedy jej wrogiem.

- To chore - powiedział cichy głos Teresy.

- Pewnego wieczoru dostrzegła moje zauroczenie kimś. Odebrała to jak ucieczkę - zamilkł. - Gdyby mnie zabiła natychmiast, zrozumiałbym - podjął po chwili. - Lecz czekała, aby zabrać wszystko. Przygotowała weekend nad jeziorem. Odepchnęła kajak z chłopcem. Wiedziała, że dopadnę chybotliwej łódki. Że zatrzymam. Uderzyła mnie wiosłem. Mały zapłakał. Wskoczyłem do środka... - Głos zamilkł. Zgasł. Nie potrafił podjąć.

Trwała cisza. Rozrywała uszy. Rynna chlustała coraz gwałtowniej. Wanda nie czuła niczego. Jak tamten w ciemnym pokoju.

- W pewnej chwili zakołysała gwałtownie kajakiem. Przewrócił się dnem do góry. Wypląnąłem z Małym, ściągnęła mnie w dół. Nurt podwodnej rzeki porwał dziecko. Garścią mułu zatkała mi usta. Ściągała za nogi. Wynurzyłem się ostatkiem sił. Sam.

Wanda osunęła się. Tak było. Tak mogło być. Oniemiałe dziecko, pozostawione na brzegu. Widziało wynurzającą się głowę. I natychmiast opadającą. Widziało ramiona bijące wodę. Tak mogło być. Tak było.

Skamieniała.

Nie tylko twarz jej przekazała tamta **NIEOBECNA**. Przekazała jej żądę posiadania na wyłączną własność. Nieważne, że z niedosytu. Była nią. Była Elżbietą. Liczyła kroki zmie-

rzające do łózek. Nienawidziła Małego. Nienawidziła Agnieszki. Pragnęła, aby ich nie było, raz na zawsze. Aby miała tamtych dwoje na wyłączną własność. Chciała zabić. Nie wiedziała jak.

Martwy głos Piotra mówił spokojnie, spokojem porażonego człowieka.

- Nurkowałem wielokrotnie. Do dna. Rzeka zatarła ślad. Wypłynąłem. Tafla jeziora była spokojna, cicha. Na brzegu siedziało dziecko. Dopłynąłem. Porwałem w ramiona. Mówiłem do niej. Milczała. Była niema. I taka pozostała do dziś. I tak już między nami zostanie.

Głos umilkł.

Z rynny wylewały się potoki wody. Gromy waliły w morze. Czyjeś ramiona objęły ją. Uniosły. Ktoś trzymał ją mocno. Oddalali się. Dygotała.

Mały przycupnięty pod drzewem domek był ciemny.

- Przenocuję u kolegi - rzekł cichy głos Idola. - Prześpij się u mnie. Nie rozumiała.

Postawił ją na ziemi. Prowadził ostrożnie ku małemu domkowi. Posadził na krześle. Czują, jak delikatnie zdejmuje z niej ociekającą odzież. Jak okrywa kocem. Rozciera ręce. Stopy. Wlewa jakiś płyn do ust. Sadza na kanapie.

Odzyskała wzrok.

Dostrzegła wysoki chudy cień zmierzający do drzwi.

- Nie odchódź - powiedziała cicho. - Pozostań.

Poznań 2016